

Odkrycie
w bazylice

Jacek
Kuroń

Archeologia
ruchu

poszukiwania



Nr 02/2018 (41) luty 2018
www.poszukiwania.pl



rozstrzelanie członków
WiN

Redaktor naczelny:

Rafał Kruk
kruku@poszukiwania.pl

Zespół redakcyjny:

Weteryna
Mariusz Bąk
Marek Kulig
Niuniek
Tom
Robert Winkler

Współpraca:

Yedyny
Andrzej Szutowicz

**Zdjęcie na okładce
i zdjęcia w artykułach,
o ile nie zaznaczono inaczej:**

archiwum Portalu
Poszukiwania.pl

Reklama i Marketing:

redakcja@poszukiwania.pl

Redakcja:

redakcja@poszukiwania.pl

**Reprodukcja i przedruk
wyłącznie za zgodą autora.
Gazeta działa na zasadach
dziennikarstwa obywatel-
skiego otwierając swoje łamy
dla każdego autora.**

**Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania dostarczonych
tekstów.**

**Redakcja nie ponosi
odpowiedzialności za
treść reklam i artykułów
sponsorowanych.**

SPIS TREŚCI

4	Testament	56	Zjazd gnieźnieński
8	Z pamiętnika Powstańca	61	Polskie ultimatum wobec Litwy
16	Godzina dla Ziemi 2018 r.	63	Powstanie Związku Pruskiego
18	Archeologia ruchu	66	Projekt Romana śperenca
21	Badania ceramiki	68	Stalinogród
24	Poznajemy dzieje Puszczy Białowieskiej	70	Statut ormiański
27	Podsumowanie badań grodzisk wczesnośredniowiecznych	72	Rozstrzelanie członków WiN
29	Przęślik z Czerмна	75	Wydarzenia marcowe. Kampania antysyjonistyczna
31	Niezwykła wędrówka kultury w prehistorycznej Europie	79	Modele Toyoty, o których prawdopodobnie nigdy nie słyszałeś
33	We wrześniu pada śnieg	81	Toyota Camry w Polsce
34	Tysiące zabytków ze średniowiecznego miasta	86	Znajduję się w sercu piekła
37	Odkrycie w rzeszowskiej bazylice	88	Dysk do zadań specjalnych w terenie
39	W Chartumie powstanie Polski Ośrodek Archeologiczny	90	Moc na wyciągnięcie ręki
41	Monety Zygmunta II Augusta 1545-1572 cz.3	92	Smartwatch, który sprawdza się w terenie
48	Jacek Kuroń	94	Prowadził nielegalne wykopaliska archeologiczne
51	Leksykon getta łódzkiego	100	Arkady Fiedler przed wyprawą...
53	Amunicja strzelecka. Francja cz.1		

Testament



Pewnego pięknego wieczoru szykowałem się do spania przed jutrzejszą wyprawą . Niestety natłok myśli piętrzy się w głowie i za nic w świecie nie chce mi się spać! To chyba przez to myślenie o wyjeździe na poszukiwania co bardzo uwielbiam. Co tu zrobić, żeby szybko zasnąć... Oj wiem mała tableteczka na sen i będzie ok. No to lecę do kuchni - 1 sztuka wpadła do gardła - popita szklanką wody! Lecę do łóżka , teraz to na pewno wstanę świeży i wypoczęty. Leżę a środek zaczyna powoli działać i w oddali gdzieś w półmroku widzę moje 2 ukochane kobiety. Matkę i córkę. Powoli i one znikają pod kołdrą mych powiek. Świat znika. Zасыpiam.

Budzę się jakbym spał minutkę, szykuję sprzęt i jadę. Trasa zleciała szybko, że aż nie wiem

kiedy. Jestem na miejscu przede mną piękny las a na obrzeżach lasu niesamowicie wyglądające pole, równiutkie takie idealne do chodzenia po nim godzinami.

Och gdyby dziewczyny to widziały! Pasją poszukiwań zaraziłem je już dawno, najpierw mamę, która bardzo lubi takie klimaty a teraz i córka zaczyna się dopominać o swój własny pierwszy sprzęt .

Dobra czas zaczynać wchodzę na pole z moim sprzętem pełen nadziei, że będzie super miejscówka. Na razie to wisi nade mną jakieś fatum- jakkolwiek długo bym nie chodził znajduje zawsze tylko jedną piękną rzecz. Chciałbym aby dziś było inaczej. Pole jest super,

piaszczyste bez śladów ingerencji nawozów itp. Będzie szansa na wyciągnięcie czegoś pięknego w dobrym stanie. Odpalam sprzęt i lecę...

Pierwszy sygnał... ding-dong... taki jak lubię. Kopie na wymiar łopaty i nagle...złoty strzał uśmiech na twarzy wielki...wycieram dokładnie fanta i nadzieja pryska- to złota nakrętka od wódki- heh -czyżby znowu pole z którego po wyjściu mógłbym zostać podwykonawcą na dostawy nakrętek do polmosu. Zakopuje dołek dokładnie jakby go tam w ogóle nie było i idę dalej.

2,3,4 i 5 dołek i nic ciekawego mi nie wpada, ale wiem że to nic trzeba iść dalej bo jest szansa na tą jedną piękną rzecz ! Więc idę. Przy połowie pola piękny sygnał (oby to było to) kopię szukam, w końcu znajduję- srebrny grosz rocznik 1842- jestem już zadowolony, czyżby to ten strzał dzienny..? Idę dalej, bo szkoda czasu na za długie oglądanie fantów - pole czeka na mnie. Następne parę dołków też było super-łuska od karabinu, ołowiany żołnierz, jakieś 2 guziki i cudowna zapalniczka zrobiona z dużej łuski (ciekawe od czego ta łuska swoją drogą ?)

Czyżby to pole odwróciło mojego pecha jednej pięknej znalezionej rzeczy dziennie? Został jeszcze kawałek do przejścia, a już tyle ciekawych rzeczy. Idę dalej. Dochodzę do końca pola... Zadowolony bardzo z dnia - nakopałem jeszcze dużo dobrych rzeczy, srebrne monety których nie znam, ale jak najszybciej w domu zidentyfikuję, jeśli by się nie udało poproszę znajomych z portali i wtedy na pewno ktoś będzie wiedział. Wpadło jeszcze 5 innych monet wśród których jak zawsze niezawodna boratynka. Do tego znalazłem jeszcze klamrę carską grenadierską (super sprawa), srebrną łyżkę, psi numerek z 1975 roku, mosiężne okucie od drzwi i mosiężną klamkę! No nie obyło się również bez najcenniejszych trofeów, które zawsze cieszą czyli 2 sztuk podków końskich w dobrym stanie - do wyboru jedna letnia i druga zimowa... Od razu przypomniało mi to, że czas zmienić koła w aucie na letnie - Hihi - jak się otrząsałem z tej myśli, po krótkim odpoczynku stwierdziłem, że to czas na wejście do lasu...

foto:tatlin: Freeimages.com



Gdy tylko o tym pomyślałem, nie wiadomo skąd wyłonił się jakiś człowiek. Pewnie miejscowy – pomyślałem - zaszedł mnie gdzieś z boku pewnie gdy byłem zamyślony i nie słyszałem jak szedł.

Podszedł do mnie i jakby wiedział co chcę zrobić powiedział:

- Niech pan tam nie idzie w ten las!

- Dlaczego mam nie iść? – spytałem zdziwiony

Po tym pytaniu opowiedział mi historię tego miejsca. Podobno za czasów końca 2 wojny światowej w tym lasku zakopano skarby zrabowane przez żołnierzy, a teren został

zaminowany ! Pewnie prędeż się zginie niż stamtąd wyjdzie! Historia o skarbach od razu wpłynęła na mnie bardzo euforycznie i już chyba nic nie mogło mnie zatrzymać! Postanowiłem wejść do tego lasu mimo wszystko, tylko miałem prośbę do tego człowieka !

Zapytałem go czy mógłby przekazać list mojej kobiecie jeśli bym już stąd nie wrócił z tej wyprawy!? W liście był mój krótki testament!!! Nieznajomy przystał na moją prośbę. Ogólnie testament jako taki był tylko krótkim listem i składał się z paru zdań. Miał na celu przekazanie tylko mojej skromnej kolekcji poszukiwacza mojej kobiecie i jej córce (bądź co bądź zawsze mnie wspierały i kibicowały mi w mojej pasji) no i gdyby mój sprzęt jakimś cudem nie zostałby zniszczony to również przekazanie go!

- No to w drogę - myślę...

Pożegnałem się z nieznajomym, który tak szybko jak się pojawił, tak szybko nie wiadomo gdzie zniknął!!!

Wziąłem głęboki oddech i postanowiłem 5 min jeszcze poczekać. Zapalić papierosa...a nuż to już ostatni, więc lepiej skorzystać ;)

Po papierosie...jeszcze jeden wdech i trzeba iść. Nikt za mnie tego nie zrobi! Odpalam sprzęt i wchodzę do lasu. Delikatnie, powoli z lekkim strachem ale idę...szansa na sukces jest wielka! Rozglądam się wkoło teren wydaje się bardzo tajemniczy, cokolwiek ma to oznaczać ! Przeszedłem już chyba z 50 metrów albo i nawet ze 100 (z tego stresu to nic nie wiadomo) , a tu cały czas spokój i cisza, sprzęt jakby zamarł!

Aż tu nagle jak zacznie bić pięknym sygnałem...myślałem, że mi głośnik zaraz wysiądzie! Takiego sygnału to chyba nigdy jeszcze nie miałem. Podniecenie sięga zenitu - sprawdzam teren, sygnalizuje mi, że coś dużego znajduje się pod ziemią, jakby skrzynia myślę sobie... rzucam sprzęt i biorę się do kopania. Jest głęboko chyba, bardzo głęboko... rzucam się w wir kopania i nie myślę już o niczym innym. Wykopałem już dziurę z pół metra na metr i nic...nagle następnym uderzeniem łopaty natrafiłem na coś twardego...drugie uderzenie dla sprawdzenia i co to...?

Co się dzieje...!!!

Nieeee tylko nie tooo!

o Boże....Nieeee..... (wybuch)

Ale co to.. oczy zaczynają mi się otwierać i właśnie w tym momencie uświadomiłem sobie, że tabletki przestają działać i właśnie się obudziłem...Cały spocony, ale z ulgą na sercu, że to był tylko zły sen.

Więc tak dla wszystkich... W normalnych okolicznościach nigdy nie decydujemy się na ryzykowne działania i wyprawy, bo najważniejsze w naszej pasji jest to, żeby ŻYĆ, odkrywać i szukać dalej w imię historii nieznannej i naszej pasji !!!

I z tego bądźmy znani i zapamiętani !!!!

Krzysztof Woźny

NOWOŚĆ



Prawdopodobnie najlepszy wykrywacz na rynku!

- Najlepsze parametry i osiągi
- Uniwersalny - do każdego poszukiwań
- Wodoszczelny do 3m
- Konkurencyjna cena



Treasure Master

POLECAMY TAKŻE:



Treasure Pro

ul. Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl

www.viking.waw.pl

NAJWIĘKSZY WYBÓR OD 1998 R.

Z pamiętnika Powstańca



foto: Krzysztof (Kriss) Szkurlatowski; Freeimages.com

Wprowadzenie

Drogi czytelniku, przed zabraniem Cię w tę podróż pełną przygody należy Ci się kilka słów wytłumaczenia. A więc, jest to opowiadanie, w którym wraz z fikcją przeplatają się wątki historyczne, znalazło się tu także miejsce dla legendy owianej tajemnicą, przechodzącej z ust do ust rdzennych mieszkańców pewnej wsi a wywodzącej się prawdopodobnie z zapisków jej dziedzica. Wszystkie nazwiska i nazwy miejscowości zawarte tutaj są prawdziwe, tło wydarzeń historycznych także. Ale wszystko po kolei...

Część I 18.08.2014

Budząc się nad ranem pomyślałem

- W końcu wolne... Przynajmniej jeden dzień w tygodniu dla siebie, a nie tylko praca i obowiązki. Coś tu trzeba dzisiaj zrobić.

Długo nie myślałem, wstałem z łóżka, szybki prysznic i śniadanie, otworzyłem szafę z moim sprzętem.

- Zakurzył się...Cholerna praca – powiedziałem po cichu.

Rozsunąłem plecak wrzuciłem wodę, dwie kanapki, reszta potrzebnych rzeczy już tam czekała od dawna. Wykrywacz w dłoń, w drugą saperka, pies już przy nodze - czas ruszać.

Wybrane miejsce nie było daleko, tylko kilka kilometrów. Zjechałem na polną drogę, zwolniłem i zacząłem z podziwem oglądać krajobraz. Kręciłem głową co chwilę w prawo i lewo. Z lewej strony były pola, niektóre już zaorane a na niektórych jeszcze ścierniska z kulami słomy. Za nimi pas lasu i łąki, w oddali widać ambonę i bieżące stado saren. Obróciłem głowę w prawą stronę tutaj widok był chyba piękniejszy. Tu także były pola, ale tylko blisko drogi, na wszystkich jeszcze złote ścierniska z kulami. Za nimi ogrom zielonych łąk po których płyną cienie obłoków, w oddali widać zacierającą się linię horyzontu jakby niebo łączyło się z zielenią traw.

- Piękne miejsce – pomyślałem.

Nawet pies się zapatrzył i przestał kręcić się na siedzeniu. Dojechałem do skrzyżowania dróg, po lewej stronie stał ogrodzony płotkiem krzyż. Skręciłem w prawo i tym samym wjechałem w las. Po kilkuset metrach dojechałem na miejsce. Była tam jakby przerwa w lesie po prawej stronie na dwa pola, a za nimi rozciągały się łąki, które widziałem wcześniej. Otworzyłem drzwi, pies wyskoczył jak szalony, też mógł w końcu odpocząć i się wybiegać – uwielbiał ze mną podróżować. Zostawiłem samochód na czyimś podwórku, tak dobrze mówię – podwórku, jest to miejsce gdzie widać pozostałości po domu a więc było to kiedyś czyjeś podwórko. W koło widać bzy, dzikie róże i już zdziczałe drzewka owocowe. Przy jednym z pól, stoi krzyż już bardzo zmęczony czasem, trochę obrośnięty mchem co dodawało mu pewnej urody. To wszystko, to znaki po dawnej wiosce niegdyś będącej w tym miejscu.

Włączyłem wykrywacz, usłyszałem dwa sygnały – czas ruszać. Chodziłem tak po ściernisku od czasu do czasu kopiąc za jakimś sygnałem ale niestety nic ciekawego. Na rogu lasu zobaczyłem duży kamień pod drzewem, które dawało cień.

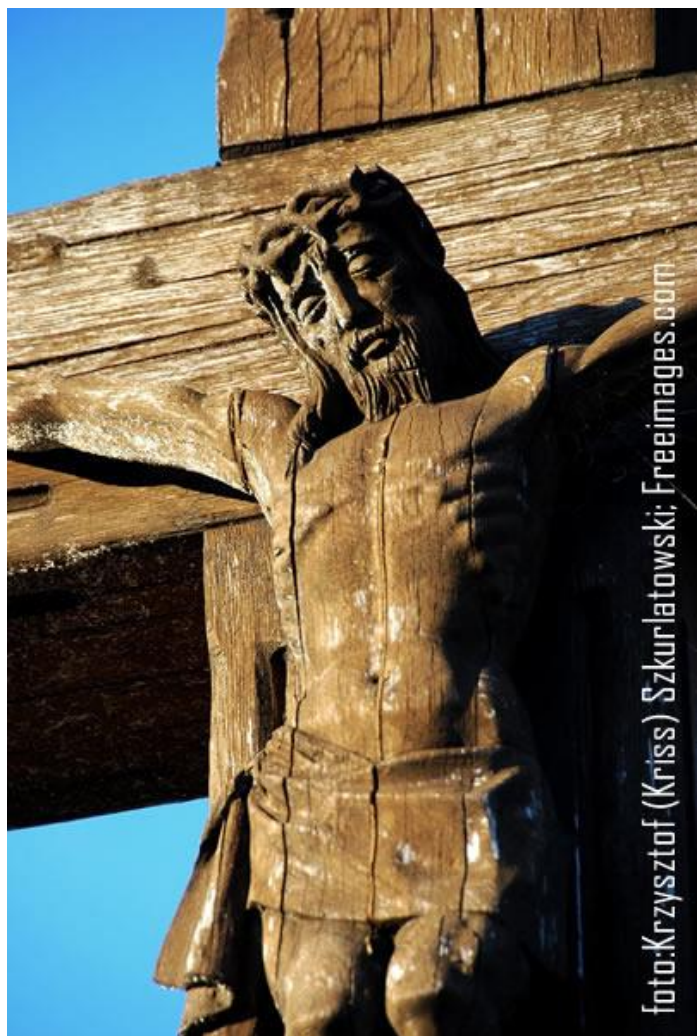


foto: Krzysztof (Kriss) Szkurlatowski; Freeimages.com

- Fajne miejsce na drugie śniadanie – pomyślałem.

W prostej linii ruszyłem w to miejsce przemiatając jeszcze cewką nad ziemią i kopiąc kilka sygnałów. Wbiłem saperkę w ziemię obok kamienia a o nią oparłem wykrywacz. Plecak rzuciłem pod kamień a sam usiadłem obok, opierając się o niego plecami. Widok był super, cień dawał trochę chłodu - miejsce idealne – pomyślałem. Wyjąłem kanapkę, pies przybiegł i usiadł przy mnie. Odchyliłem do tyłu głowę opierając ją wygodnie. Nagle poczułem jak ziemia w ułamku sekundy zaczyna się osuwać, nie zdążyłem nawet wstać, wszystko runęło, poczułem już tylko mocne uderzenie w głowę.

Część II 18.08.1863

Po ocknięciu się otworzyłem oczy, niewiele mi to dało - było zbyt ciemno, za mną tylko kilka promieni słonecznych wpadało przez zawalisko.

- Gdzie ja jestem? – Pomyślałem – I gdzie jest mój pies? Pewnie zdążył odskoczyć – mówiłem uspokajając siebie samego.

Złapałem się za tył głowy.

- To chyba krew – mówiłem sam do siebie.

Ale o dziwo nie bolało, pewnie przez tę adrenalinę. Nie wiedziałem co robić, jak mam stąd wyjść. Wstałem, prawą ręką oparłem się o jakąś drewnianą belkę i daleko przed sobą ujrzałem jakieś światło, jakby płomień. Zbliżał się dość szybko. Po chwili był już na tyle blisko, że oświetlił miejsce w którym się znajdowałem, wyglądało to na stary szyb kopalni. Ściany były podparte drewnianymi belkami w kształcie odwróconej litery „L” z podpórką. Tunel był dość ciasny i niski, trzeba było się garbić żeby iść. Zobaczyłem, że to światło to lampa naftowa niesiona przez człowieka. Serce zaczęło mi szybciej bić, nie wiedziałem co robić-uciekać nie było gdzie. Podniosłem kamień z ziemi, zawsze to jakaś obrona. Zatrzymał się, widziałem go już bardzo dobrze, był to niezbyt wysoki, chudy mężczyzna. On też mnie zobaczył, chyba nie spodziewał się tu nikogo bo bardzo chaotycznie zaczął się zachowywać, nagle wyciągnął duży nóż i ruszył powolnym, ostrożnym krokiem w moją stronę.

- Kim jesteś? – Zawołał.

Nie mogłem wydusić z siebie ani słowa, chciałem uciekać ale nie było gdzie.

- Kim jesteś i co tutaj robisz? Mów szybko!

- Ziemia się pode mną osunęła i tu wpadłem – wydusiłem z siebie.

- Polak? – Zapytał.

- Tak – odpowiedziałem ze zdziwieniem, że o to mnie pyta.

- Wyrzuć ten kamień!

Zrobiłem, co kazał. Podszedł do mnie, zobaczyłem jego twarz, nie wyglądał na mordercę więc trochę się uspokoiłem. Ale moją uwagę zwróciło jego ubranie, było... dość

dziwne, jakby jakiegoś ułana z przedstawienia. Ale spojrzałem na swoje buty, później spodnie i zobaczyłem, że ja też wyglądam podobnie.

- Z jakiego jesteś oddziału? – Zapytał.

- Ja? Z oddziału? Ja... ja... tu wpadłem, ziemia się osunęła, nie mam jak wyjść, co to w ogóle jest?

Spojrzał na mnie dziwnie.

- Jesteś szpiegiem! – mówiąc to cofnął się o krok do tyłu zaciskając nóż.

- Ja szpiegiem? Czym? Po co? Gdzie ja jestem? – mówiłem coraz szybciej.

- Odwróć głowę – powiedział, nie zmieniając postawy do ataku.

Powoli, niepewnie zacząłem robić to co powiedział.

- Krwawisz.

- Tak, musiałem walnąć w coś głową gdy tu spałem.

- Nie kłamiesz... przejście za tobą zawałone – mówił chowając nóż do pochwy. – Teraz ani wyjść ani w przód – mówił jakby do siebie – i jeszcze ty! – krzyknął. – Walnąłeś się pewnie w głowę i teraz nic nie pamiętasz, albo z jakiegoś powodu udajesz. Nieważne, nie mam na to czasu, muszę iść z wiadomością do dowódcy, ważna sprawa.

- Jakiego dowódcy? Gdzie?

- Karola Krysińskiego. Gdzie? To sam zobaczysz bo pójdziesz ze mną i on zadecyduje co z tobą zrobić. Szybko! Ty idziesz przodem ja będę ci mówił jak masz iść.

- Karola Krysińskiego? – Zapytałem.

- Tak. Przypominasz sobie? A może uciekłeś jako dezertor z jego oddziału. Nie mam czasu. Przodem szybko! On zdecyduje. Szybko. Tędy nie przejdziemy - wracamy – złapał mnie za rękę jednocześnie mocno cofając się do ściany aby

zrobić mi miejsce na przejście i pociągnął mnie przed siebie.

- O Karolu Krysińskim to tylko słyszałem z opowieści i książek o Powstaniu Styczniowym. O co w tym wszystkim chodzi? Co ja mam na sobie? Gdzie jestem...

- Chyba naprawdę ci się w głowie poprzewracało – mówiąc to popychał mnie, żebym szybciej biegł. – Jakie opowieści? Jakie książki? Powstanie trwa a my walczymy i zwyciężymy z Moskalami. Tutaj skręć w lewo, szybko.

- Powstanie trwa? – zapytałem.

- Tak. A ja idę z wiadomością z Lejna, od Liniewskiego dla Krysińskiego, o ruchach wojsk nieprzyjaciela.

O Liniewskim też czytałem, był to dziedzic wsi Lejno, weteran Powstania Listopadowego.

- To który jest rok?

- Rok Pański 1863.

Część III 18.08.1863

Biegłem już w ciszy, nie wiedziałem jak to się mogło stać. Może to jakaś ukryta kamera? Żarty? Nie możliwe, w jaki sposób ktoś by to zrobił? Nasuwało się coraz więcej pytań a ciągle brak jasnych odpowiedzi.

- Zaraz będzie wyjście – powiedział, przerywając mi moje rozmyślenia. – Niestety dalej będziemy musieli biec leśnymi duktami, może nie trafimy na Rosjan.

- Biegniemy do obozu na Lipniak tak?

- Przypomniałeś sobie?

- Nie, czytałem o... nie ważne po prostu wiem.

- Dziwak z ciebie. Wychodź tu jest wąż.

Podniosłem drewniany wąż i odrzuciłem go na bok.

- Czekaj ja wyjdę pierwszy i się rozejrzę czy nikt... - Nie kończąc nawet zdania wyskoczył jednym podskokiem podpierając się na rękach o brzegi wyjścia.

- Chodź, nikogo nie ma – powiedział wyciągając do mnie rękę.

- Daleko jeszcze? Cały czas będziemy biegli?

- Musimy szybko dostarczyć tę wiadomość a mamy opóźnienia.

- Dlaczego nie masz konia, jeżeli ta wiadomość musi być tak szybko dostarczona?

- Na koniu byłbym widoczny dla patroli, po to są nam te tunele... - przestał na chwilę mówić.

- Nie powinienem ci tego mówić ale i tak już widziałeś – westchnął. – Gdyby nie ty, wiadomość byłaby już dostarczona. Ale jesteśmy już blisko.

Wszędzie w koło były bagna, my szliśmy przejściami między nimi - musiał bardzo dobrze znać teren. W oddali zobaczyłem kilka ognisk i dużo ludzi.

- To już chyba obozowisko prawda? – Zapytałem.

Nic nie odpowiedział tylko przyspieszył kroku. Pierwszego spotkanego zapytał:

- Gdzie dowódca? Ja z wiadomością.

- Tam, gdzie zawsze – odpowiedział pytany, patrząc na mnie.

- Chodź szybko – powiedział.

Wszyscy wokół siedzieli przy ogniskach, jedni gotowali w zawieszonych nad ogniskami garnkach jedzenie, inni odlewali ołowiane kule, jeszcze inni ostrzyli swe kosy. Wszystko to, co czytałem o tym obozie i powstaniu, ich broń, ubrania, wszystko to teraz widziałem na własne oczy. Nie mogłem w to uwierzyć.

- Rozglądasz się jak szpieg, nie radzę ci... - zagroził mi.

- Ja tylko... nic, nic – odpowiedziałem.

- Zaczekaj tu, ja idę do pułkownika.

Zatrzymałem się a on poszedł dalej.

- Nawet nie zapytałem o jego imię – pomyślałem.

Wszystkie oczy były skierowane na mnie, czułem się jak jakiś obcy. Zza drzewa wyszedł do poznanego przeze mnie powstańca pułkownik. Był bardzo podobny do tego z obrazu, który widziałem w książkach. Zaczęli rozmawiać, nie słyszałem co mówią, ale co chwilę pokazywali na mnie, pewnie tłumaczył skąd się tu wzięłem, chociaż to pewnie trudne bo ja sam tego nie wiem. Powstaniec dał pułkownikowi list, Krysiński go przeczytał i nagle wydał rozkaz aby się przygotować do walk i być w gotowości. Nie wszystko usłyszałem ale zobaczyłem, że nagle nastąpiło poruszenie, każdy zaczął się pospiesznie przygotować i kompletować broń, już nikt nie zwracał na mnie uwagi.

- Kim jesteś? – Zapytał pułkownik.

Nawet nie zauważyłem kiedy do mnie podszedł.

- Nie wiem – odpowiedziałem.

- Jak to? – zapytał zdziwiony.

- Nie pamiętam.

Powiedziałem tak bo wiedziałem, że nie ma sensu im tłumaczyć, że nie jestem stąd, z tych czasów.

- Źle ci z oczu nie patrzy a każda para rąk do walki się teraz przyda. Wyglądasz na żołnierza więc już na pewno walczyłeś, a tego się nie zapomina. Miałeś strzelbę, kose a może karabin? – zaśmiał się mówiąc o tym ostatnim. – Potrafisz strzelać? – Zapytał.

- Chyba nie... - powiedziałem niezdecydowanie.

- Daj mu jakąś kose i przygotujcie się.

Gdy to powiedział, zdałem sobie sprawę jaki błąd popełniłem, przecież mogłem powiedzieć, że potrafię strzelać to może dostałbym strzelbę... zawsze to lepsze od kosy...

- Trzymaj – mówiąc to, podał mi kosę ostrą jak brzytwa.

- Jak masz w ogóle na imię – zapytałem, wykorzystując okazję.

- Jan.

- Dokąd wyruszamy?

- Dostaliśmy wiadomość od Seweryna Liniewskiego, że Rosjanie wyszli z Radzyna i kierują się w kierunku Parczewa. Jest ich około trzy rot.

Wtedy pułkownik zabrał głos i oznajmił, że następnego dnia wychodzimy i spróbujemy zorganizować zasadzkę na Rosjan. Wtedy skojarzyłem fakty mówili oni o bitwie pod Sosnowicą, czytałem o niej, odbyła się 19 sierpnia 1863 roku, niestety była przegrana dla powstańców w dodatku z dużymi stratami.

- Może powinienem ich ostrzec i powiedzieć wszystko co się wydarzy, może postąpią inaczej i wygramy tę potyczkę.

Pobiegłem do pułkownika Krysińskiego.

- Możemy pomówić pułkowniku?

- Nie mamy czasu, musimy obmyśleć plan na jutro a poza tym powinieneś odpocząć. Może znowu dostaniesz w głowę i pamięć wróci – zaśmiał się.

- Ja właśnie w sprawie jutrzejszego dnia. Ja wszystko pamiętam, nie możemy ich jutro zaatakować, przegramy - mówiłem z pośpiechem.

- Nie mów tak! Nie wolno! Trzeba wierzyć w wygraną. Zapamiętaj to i lepiej już idź - powiedział to oschłym tonem a nawet z pewną złością.

- Oni będą mieć armaty panie pułkowniku.

- Skąd to możesz wiedzieć nawet w wiadomości nic o tym nie było. A poza tym armaty też nam się bardzo przydadzą, więc jak je będą mieli to je zdobędziemy. Idź już!

Zrozumiałem, że nie mam tu nic do powiedzenia i go nie przekonam. Poszedłem więc jak wszyscy odpocząć przy ognisku.

Część IV 19.08.1863

Wszyscy zaczęli się zbroić, brać potrzebne rzeczy i broń. W końcu wyruszyliśmy. Próbowałem przekonać jeszcze Jana aby pomówił z pułkownikiem, opowiedziałem mu o wszystkim skąd jestem, jak się tu znalazłem, że wiem co się stanie. Ale niestety, po tym wszystkim co mu powiedziałem wziął mnie tylko za obłąkanego i zasugerował abym nie opowiadał tego nikomu więcej. Zlekceważyłem to, pobiegłem do dowódcy i opowiedziałem mu tylko o przebiegu samej bitwy, jak się potoczy, że będziemy się odwracać bo siły nieprzyjaciela będą o wiele większe. Że wyda rozkaz dla 50 jeźdźców aby dotąd utrzymywali ogień aż on z piechotą oddalą się na bezpieczną odległość. Mówiłem mu to wszystko nie pozwalając mu dojść do słowa. Ale nagle przebił się z gniewem.

- Won! I lepiej żebym nie widział jak zdradzasz bo zaczynam mieć wątpliwości co do tego kim jesteś... - mówił przez zęby

Wróciłem do szeregu i usłyszałem od Jana:

- Mówiłem ci... nie posłuchałeś. Wygramy to, zobaczysz, nie lękaj się.

Nic już nie powiedziałem szedłem i myślałem w ciszy. Zaczynałem wariować

- Może piszemy nową historię, może jednak teraz wygramy. Mam dość, po prostu włączę się do walk i przestane myśleć o wszystkim innym.

Morale wśród powstańców były znakomite, śmieli się, żartowali, byli w stu procentach gotowi do walki. Doszliśmy na miejsce, ustawiliśmy się tak jak było to zaplanowane i czekaliśmy.

Ujrzelśmy nagle wroga, szli szóstkami z piechotą kozaków na czele. Byli przygotowani do walki, wiedzieli, że mogą być atakowani. Pułkownik wydał rozkaz, huknęły strzelby i karabiny. Nastąpił krótki popłoch u wroga lecz szybko ustawili się do walk i obserwowali skąd doszły strzały. Wtedy ujrzelśmy ich potęgę, mieli dużą przewagę liczebną. Padł drugi rozkaz, znowu zabrzmiały strzały a wraz z ich dźwiękiem wybiegliśmy z kosami na wroga. Wywiązała się walka. Nagle zza piechoty wroga wynurzyły się dwie armaty. Spojrzałem w stronę pułkownika patrzyliśmy sobie w oczy, nagle dał się usłyszeć huk armat, jeźdźcy i piechota zaczęli nas otaczać.

- Odwrót! – Krzyczał Krysiński z żalem.

Wszyscy zaczęli biec z powrotem w stronę lasu. Kule świstały nieprzerwanie od strony wroga. Z naszej tylko nieliczni powstańcy ładowali znowu strzelby i oddawali strzały. Huk armat był najgorszy, mroził krew w żyłach. Poczułem, jak jedna z karabinowych kul z głośnym gwizdem przeleciała mi nad głową. Wbiegliśmy do lasu, schowałem się za drzewo, tutaj już częściej zaczęły padać strzały z naszej strony. Żołnierze zza drzew próbowali jeszcze na koniec choć trochę osłabić wroga. Spojrzałem w lewą stronę i ujrzałem jak Jan dostał w nogę. Chciałem do niego biec i w tym momencie kula karabinowa uderzyła w drzewo za którym stałem posypała się kora, brakowało tylko kilku centymetrów. Jana pochwycili inni powstańcy pod ręce i zaczęli z nim biec. Biegliśmy dalej, Rosjanie zostali z tyłu, słychać było już tylko huk strzałów na oślep. Uformowaliśmy się. Krysiński spojrzał w moją stronę i rzekł.

- Miałeś rację, skąd wiedziałeś? – mówił załamany

Lecz nagle dogoniła nas sotnia kozaków. Byliśmy znowu w niebezpieczeństwie. Krysiński wydał rozkaz Kamińskiemu aby ten z 50 jeźdźcami tak długo powstrzymywał kozaków, aż on z piechotą oddali się na bezpieczną odległość i w niedostępne dla wroga miejsce. Zobaczyłem rannego jeźdźcę, podbiegłem do dowódcy i powiedział aby wydał rozkaz żebym go zastąpił.

- Jesteś tego pewien? – zapytał.

- Tak. On bardziej ci się przyda w walkach jak wydobrzeże niż ja.

Popatrzył mi w oczy i powiedział:

- Dziwnym człowiekiem jesteś, przewidziałeś co się stanie, to niemożliwe...

- Nie mamy czasu. Niech pułkownik wyda rozkaz – przerwałem.

Zastąpiłem go, wskoczyłem na konia, jeździć umiałem bo wiele już razy w życiu miałem okazję. Chciałem ruszyć ale Krysiński złapał mnie za rękę i wcisnął do ręki jego krzyżyk z Jezusem. Skinął głową i powiedział:

- Walcz i wracaj do nas.

Ruszyłem, próbowaliśmy z oddziałem jak najdłużej walczyć z kozakami. Przez długi czas nam się to udawało. Nawet zdołaliśmy ich okrążyć pomimo mniejszej liczebności, za wszelką cenę nie pozwalaliśmy im ruszyć w pościg za wycofującą się piechotą. Po długich walkach Kamiński wydał rozkaz odwrotu, uznał, że Kozacy nie ruszą już w pościg za piechotą. Zawróciłem konia i nagle poczułem znowu silne uderzenie w głowę. Spadłem z konia, widziałem jednym okiem jak powstańczy jeźdźcy

odjeżdżają oglądając się w moją stronę, nic nie mogli już zrobić, kilkanaście kozaków już mnie otoczyło. Zaciśnąłem wtedy krzyż mi podarowany, zobaczyłem strzelbę przed głową i nagle poczułem jakby deszcz, obraz zaczął się rozmazywać, zamknąłem oczy...

Część V 18.08.2014

Otworzyłem jedno oko zobaczyłem promienie słońca, zieleń traw.

- Umarłem? – Pomyślałem.

Poczułem na policzku znowu jakby deszcz, to pies zaczął mnie lizać po twarzy. Zerwałem się na równe nogi.

- Zwariowałeś! – zawołałem wycierając bluzką policzek.

Puściłem bluzkę, coś wypadło mi z ręki i stuknęło o buta. Podniosłem to, był to krzyżyk z Jezusem, ten sam, który dał mi Karol Krysiński...

Wojciech Kostecki



III Festiwal KOLEJ W MINIATURZE 17-18. III. SOSNOWIEC 2018

Wielki interaktywny pokaz makiet i modeli kolejowych
CKZiU, Sosnowiec, ul. Jana Kilińskiego 31
(naprzeciw dworca PKP)

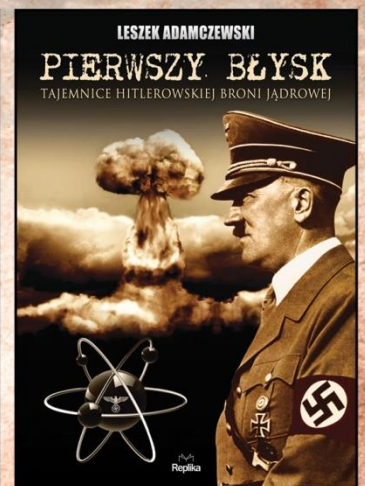
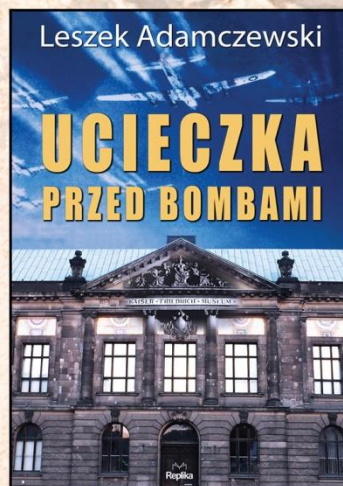
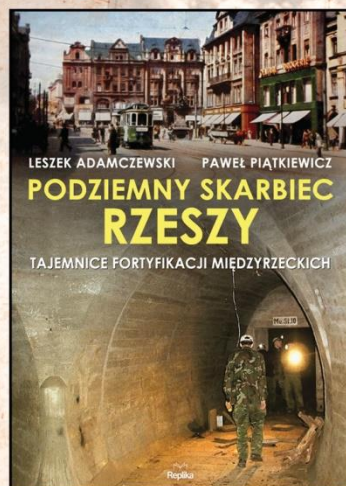
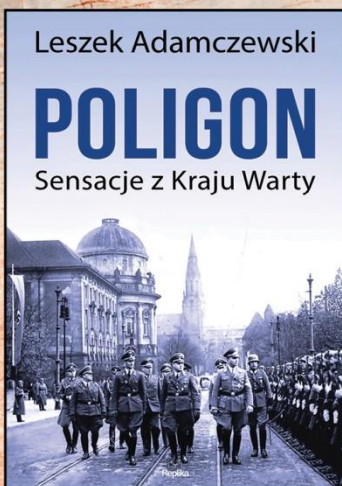


www.festiwal.kmd.pl

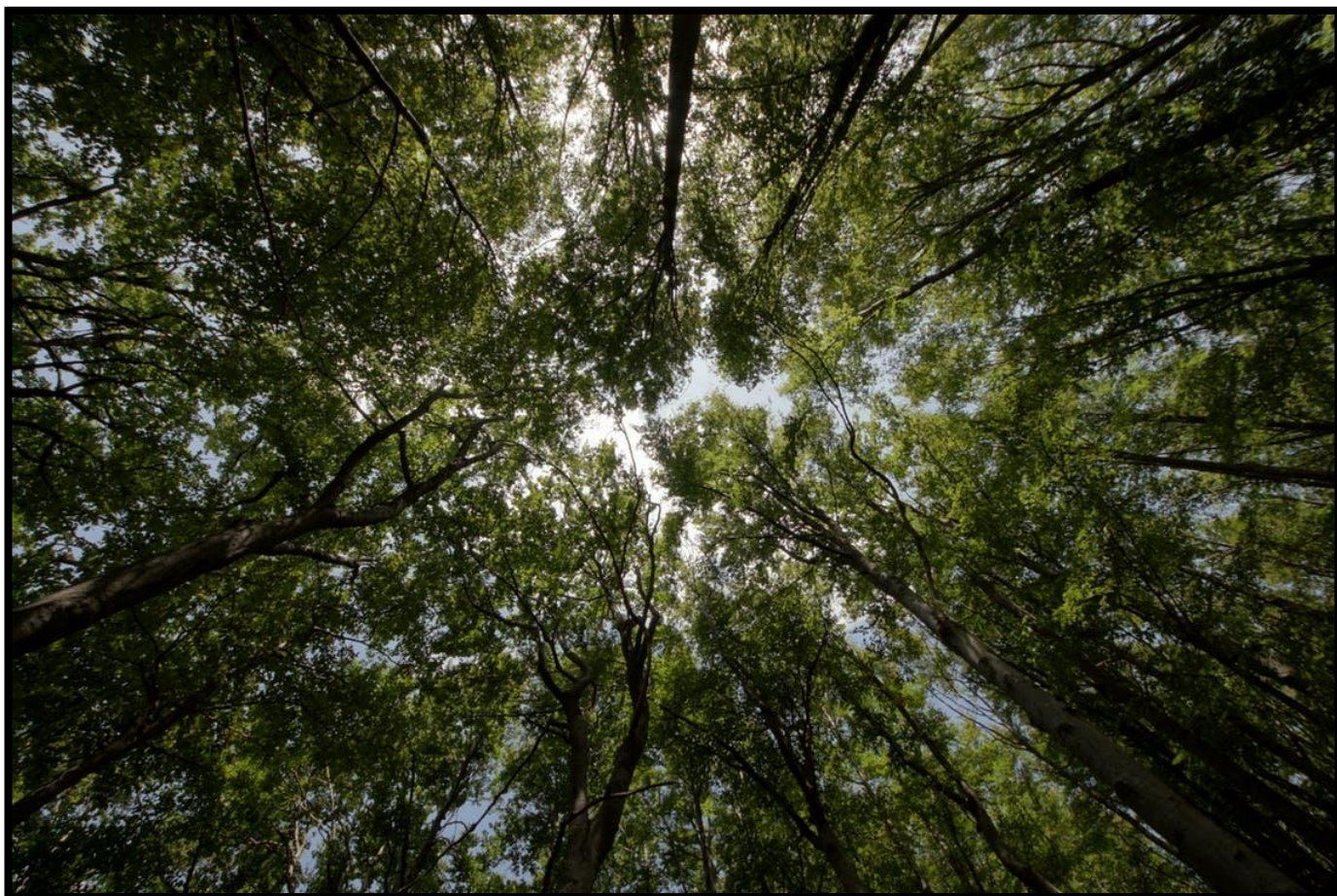
SKARBY, ZAGADKI, MROCZNE TAJEMNICE HISTORII



WKRÓTCE



Godzina dla Ziemi 2018 - na rzecz ochrony Puszczy Karpackiej



Tegoroczna edycja akcji "Godzina dla Ziemi" w Polsce będzie poświęcona Puszczy Karpackiej. Fundacja WWF Polska chce w ten sposób przybliżyć ideę ochrony tego cennego przyrodniczo miejsca, położonego na Podkarpaciu. Akcja odbędzie się 24 marca.

Godzina dla Ziemi WWF to największa akcja ekologiczna łącząca ludzi z różnych miejsc na Ziemi. Co roku bierze w niej udział ok. 180 państw na siedmiu kontynentach. W tym roku 24 marca na całym świecie o 20:30 czasu lokalnego słynne budowle pograżą się w ciemnościach na 60 minut w symbolicznym geście solidarności z ideą ochrony przyrody. W Polsce światła zgasną

tym razem dla Puszczy Karpackiej, a hasło tegorocznej edycji brzmi: "Ratujmy serce Karpat".

WWF zwraca w ten sposób uwagę na potrzebę ochrony lasów o powierzchni ok. 18 tys. ha, położonego kilkanaście kilometrów na południe od Przemyśla, na terenie gmin Bircza, Fredropol i Ustrzyki Dolne, w nadleśnictwie Bircza. Jest to najbliższa część Karpat Wschodnich, leżąca na pograniczu Pogórza Przemyskiego i Gór Sanocko-Puszczańskich.

"Żyją tam wszystkie duże drapieżniki, jakie można spotkać w Polsce - niedźwiedź, wilk, ryś i

żbik, a także 113 gatunków ptaków, wśród nich - orzeł przedni, orlik krzykliwy, puszczyk uralski, sóweczka, bocian czarny i wszystkie dziewięć gatunków dzięciołów" - opowiadał na czwartkowej konferencji WWF Polska biolog z tej organizacji Stefan Jakimiuk.



W Puszczy Karpackiej żyje mnóstwo unikatowych gatunków roślin i zwierząt: od mchów i porostów - po bardzo stare drzewa, nierzadko osiągające wiek nawet 300 lat. "Pod względem przyrodniczym Puszcza Karpacka jest drugą +Białowieżą+" - podkreślił Piotr Klub z Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze. Z inwentaryzacji przyrodniczej, jaką członkowie tej fundacji przeprowadzili na terenie 18 tys. ha lasu wynika, że niemal 7 tys. drzew - buków, jodeł, jaworów i grabów - spełnia kryteria drzew pomnikowych.

Ekolodzy podkreślają, że jest to jeden z nielicznych w Europie lasów nieposadzonych ręką człowieka. Obecnie jednak jest on traktowany jak zwykły las użytkowy i trwa tam wycinka drzew. WWF przypomina, że w 2018 roku zaplanowano tam wycinkę obejmującą ponad 67 tys. m sześć. drzew, z tego ponad 60 proc. (41 tys. m sześć.) przypada na obszar planowanego rezerwatu przyrody "Reliktowa Puszcza Karpacka".

WWF Polska zbiera podpisy pod petycją i apelem o zwiększenie ochrony Puszczy

Karpackiej i o przyspieszenie prac nad utworzeniem Turnickiego Parku Narodowego (SerceKarpat.pl). Pomysł ten wywodzi się z 20-lecia międzywojennego. "Na przełomie lat 80. i 90. powstał też projekt (stworzenia parku narodowego - PAP), ale ówczesny minister środowiska go nie podpisał" - przypomniał Piotr Klub. Przypomniał, że powstanie Parku Narodowego wymaga obecnie zgody władz samorządowych, w tym wypadku - trzech wspomnianych gmin. "Te jednak boją się, że zostaną skansenem i stracą dostęp do drewna" - powiedział przedstawiciel Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze.

Już wcześniej Fundacja Dziedzictwo Przyrodnicze przygotowała projekt stworzenia w tym lesie rezerwatu o powierzchni 8 tys. ha, położonego na południe i wschód od rzeki Wiar, należącego do gminy Bircza i częściowo gminy Fredropol. Projekt ten został złożony do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska; nie wiadomo, kiedy zapadnie decyzja w tej sprawie.

Do tej pory zebrano już 100 tys. podpisów. "Mamy do czynienia z lasem wyjątkowym, który powinien być udostępniony turystycznie, udostępniony do badań, powinien służyć lokalnej społeczności i po to, aby rozwijać turystykę" - mówił Stefan Jakimiuk.

Podczas marcowej kampanii Godzina dla Ziemi WWF będzie zbierać podpisy pod petycją w kilku miastach Polski: w Krakowie (3 marca), Gdańsku (7.03), Łodzi (10.03), Lublinie (12.03), Rzeszowie (17.03), Słupsku (21.03) i Warszawie (24.03). Szczegóły na stronie facebook.com/WWFpl. (PAP)

PAP - Nauka w Polsce

zan/ ekr/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.
foto: Pexels

Archeologia ruchu, czyli o tym, jak poznać dawne sztuki walki



Do rekonstruowania dawnych sztuk walki nie wystarczą same badania uzbrojenia czy zapamiętanie ruchów rekonstruktorskich, bo formę walki warunkowały nie tylko kształt i waga broni, ale też np. normy społeczne i estetyka. Niezbędne jest spojrzenie holistyczne - uważa archeolog i szermierz Maciej Talaga.

Do tej pory w Polsce - zdaniem Macieja Talagi ze Stowarzyszenia na rzecz Dawnych

Europejskich Sztuk Walki ARMA-PL - brakuje całościowego spojrzenia na poznanie dawnych form ruchu, w tym średniowiecznych sposobów walki. Talaga, archeolog po studiach na Uniwersytecie Warszawskim, jest również instruktorem Polskiego Związku Szermierczego.

Jak przypomina, klasyczne badania historyczne i archeologiczne od dawna są wspomagane przez archeologię doświadczalną, w tym ruch rekonstrukcji historycznych. Ta specjalizacja rozwija się obecnie dynamicznie i może uzupełnić wybrakowane nierzadko źródła umożliwiające poznanie przeszłej wytwórczości, sztuki lub technik łowieckich bądź wojennych. Talaga jednocześnie zaznacza jednak, że ta rola bywa mocno przeceniana.

"Jeśli zgromadzić w jednym miejscu dostateczną liczbę żądnych walki ludzi i gotowych do użycia replik broni, technika walki nie +zrekonstruuje się+ sama. Z kolei samo skoncentrowanie się na badaniu fizycznych właściwości uzbrojenia również nie doprowadzi nas do wszystkich odpowiedzi na temat tego, jak wyglądały dawne pojedynki" - uważa Talaga.

W jego ocenie obydwie podejścia mają tę słabość, że skupiając się osobno tylko na nich nie dostrzega się złożoności walki jako zjawiska kształtowanego przez kontekst kulturowy. Składające na formę walki ruchy i myśli walczącego są warunkowane nie tylko przez kształt, wagę czy zasięg rażenia dostępnej w danym czasie i miejscu broni, ale również przez m.in. normy społeczne czy smak estetyczny.

Środkiem zaradczym wydaje się, zdaniem Talagi, interdyscyplinarne podejście integrujące

dorobek nauk historycznych i przyrodniczych z wnioskami płynącymi ze współczesnych walk, które rozgrywają osoby zaangażowane w ruchy rekonstruktorskie oraz archeolodzy eksperymentalni.

"W nowym podejściu traktujemy ruch jako zabytek kultury" - mówi Talaga. Dlatego techniki walki powinny być traktowane jako szczególna forma wiedzy ukrytej w ciele i rekonstruowane poprzez sięgnięcie do przeróżnych źródeł: w pierwszej kolejności zapisów historycznych, a zwłaszcza dawnych podręczników fachowych (gdzie opisane są poszczególne ruchy i ich powiązania). W drugiej kolejności badacze sięgają po teksty, w których opisany jest szerszy kontekst kulturowy w czasach, w których odbywały się rekonstruowane walki. Są to kroniki, dzieła sztuki, zabytki kultury materialnej czy szczątki ludzkie.

"Wykorzystujemy te źródła jako podstawę do tworzenia hipotez na temat dawnych form ruchu, które są następnie interpretowane przez nas +w praktyce+, czyli w czasie współczesnych eksperymentów" - opowiada Talaga. W jego opinii, dzięki takiemu sposobowi rekonstrukcji dawnych walk następuje "sprzężenie pomiędzy zapisem historycznym, a wiedzą ukrytą w ciele".

"Takie spojrzenie pozwala też rozwiązać wiele problemów, a także postawić wiele pytań badawczych dotyczących różnic pomiędzy myśleniem o ruchu kiedyś i dziś" - dodaje.

"Wyobraźmy sobie, że w jednym z podręczników szermierczych z XV w. otrzymujemy informację, że pewien rodzaj pchnięcia mieczem należy wykonywać tak, jakbyśmy łowili ryby. Dziś pewnie zrozumielibyśmy to jako ruch łowienia ryb wędką, podczas gdy autor mógł mieć na myśli pchnięcie ościeniem, czyli harpunem" - opowiada.

Dlatego - jak zwraca uwagę ekspert - ktoś, kto spróbuje wykonać opisane pchnięcie w sposób wzorowany na ruchu zarzucania wędki, szybko zauważy, że taki ruch nie tylko nie działa w walce, ale również nie zgadza się z dalszą częścią tekstu instrukcji. "Dlatego tak ważne jest

analizowanie dawnych zapisów w zderzeniu z próbą ich rekonstrukcji na żywo" - uważa Talaga.



Innym przykładem pokazującym, że wieloaspektowe podejście do tematyki walki jest bardzo istotne może być kwestia wytrzymałości średniowiecznych zbroi płytowych. W przedstawieniach z epoki znane są wizerunki, na których rycerz rozłupuje takie pancerze ciosem miecza. Tymczasem w wielu im współczesnych podręcznikach stwierdza się, że nie jest to możliwe.

"Testy wykonane dziś przez rekonstruktorów wyposażonych w wysokiej jakości repliki pomagają rozstrzygnąć tę wątpliwość. Przebicie

takiego pancerza praktycznie nie było możliwe. Zatem przedstawienia z kronik to najpewniej licentia poetica obliczona na gloryfikację ich heroicznym bohaterów" - zauważa Talaga.

Dodał, że podobnych obserwacji jest wiele i są rozmaite. Inne dotyczą tego, czy dane ruchy odbierano jako piękne, a może szpetne oraz jak ówczesni postrzegali możliwości ciała, jego odporność oraz ile wiedziano o profilaktyce kontuzji.

Jako swój wkład w rozwój dziedziny Talaga podaje niedawno wykonaną analizę jednego z pchnięć opisanego w średniowiecznym Kodeksie Norymberskim.

W ocenie Talagi na razie w podobnych badaniach dominuje "dość swobodne podejście" pozbawione ustalonych i jasnych zasad, które utrudnia badaczom, nawet tym pracującym nad

tym samym tekstem, komunikację i studia porównawcze.

"Rzeczywiście dotychczas polska archeologia czy historia akademicka nie zapuszczała się w te rejony, jednak spodziewam się, że będzie się to zmieniać w niedalekiej przyszłości" - podsumował. Jednocześnie zapowiedział kilka publikacji metodologicznych, które niebawem ukażą się na ten temat w specjalistycznych periodykach "Acta Periodica Duellatorum" i "Kultura i Historia".

Nauka w Polsce - PAP, Szymon Zdziełowski

szz/ ekr/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



PRZEGLĄD FILMÓW O SZTUCE

ZAKOPANE 11-15.IV.2018

Badania ceramiki: wczesna epoka żelaza w południowo-zachodniej Polsce była kolorowa



Na prawie 300 cmentarzyskach sprzed ponad 2,5 tys. lat na obecnych terenach Polski archeolodzy odkryli naczynia lub fragmenty skorup ceramicznych pokrytych malunkami. Większość z nich pochodzi z dorzecza Odry - wynika z badań dr Dagmary Łaciak.

Pradziejowe naczynia ceramiczne odkrywane na obszarze Polski najczęściej nie były pokrywane barwnym malowaniem - zdobiono je wzorzystymi nacięciami albo naklejanymi wałkami gliny. Różniły się od siebie barwą w zależności od sposobu wypalania - były bardziej jasne w przypadku, gdy w procesie wypalania dochodziło do nich powietrze, ciemniejsze a

nawet czarne - gdy nie. Nawet w średniowieczu naczynia w dalszym ciągu były najczęściej po prostu szare.

"Tymczasem po 800 roku p.n.e., czyli w wiekach VIII-VI p.n.e na terenie obecnej południowo-zachodniej Polski, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Bardzo popularna była ceramika pokryta barwnym malowaniem" - powiedziała PAP dr Dagmara Łaciak. Badaczka opublikowała właśnie książkę "Nadodrzańska ceramika malowana. Społeczno-kulturowe konteksty wytwórczości we wczesnej epoce żelaza", w której zajęła się tym zagadnieniem. Publikacja powstała na podstawie doktoratu obronionego w

Archeolog naliczyła w sumie blisko 300 stanowisk archeologicznych, głównie cmentarzysk, przede wszystkim z obszaru dorzecza Odry (głównie na terenie obecnego woj. dolnośląskiego, ale również lubuskiego), gdzie odkrycia w postaci zdobionych naczyń ceramicznych były najczęstsze. Odkrywano je również, przede wszystkim, w południowej części Wielkopolski. Mała liczba osad z ceramiką malowaną świadczy o wykonywaniu jej na potrzeby obrządku pogrzebowego - stwierdziła badaczka.



Z jej badań wynika, że najczęściej malunkami o różnych odcieniach koloru czerwonego (barwnik pozyskiwano najczęściej z glin żelazistych, gdzie znajduje się sporo tlenku żelaza) pokrywano naczynia o jasnej - kremowej czy żółtej powierzchni. To najczęściej motywy geometryczne - trójkąty, linie faliste, okręgi z promieniami czy trykwetry.

"Są to naczynia i motywy jednolite stylistycznie, czyli posiadające podobne kształty charakterystyczne tylko dla tego regionu" - uważa dr Łaciak. Jednak - jak przypomina - fenomen malowania przedmiotów ceramicznych

był charakterystyczny dla okresu wczesnej epoki żelaza na znacznych terenach Europy, zwłaszcza obecnych obszarów południowych Niemiec i Austrii, Czech, Moraw i Słowacji. W jaki sposób spopularyzowała się taka metoda zdobienia i wytwarzania naczyń nad Odrą?

"Nową technikę mogły przenosić kobiety poprzez kontakty międzygrupowe związane z wymianą małżeńską. Powodowało to wprowadzenie innowacji do istniejącej tradycji garncarskiej" - uważa badaczka. Zaznacza, że jest to jedna z hipotez, ale w jej ocenie, najbardziej prawdopodobna.

Renesans malowanych naczyń ceramicznych był ściśle związany z praktykowanym wówczas obrządkiem pogrzebowym. Tego typu naczynia wkładano do grobów, w których umieszczano spopielone szczątki zmarłych.

Dlaczego z taką dużą częstotliwością stosowano kolor czerwony w zdobieniu składanych do grobów naczyń? "Kolor czerwony zapewniał pomyślne przejście zmarłego w zaświaty. Kolor ten przysparzał również siły, mocy i skuteczności przedmiotom i był kojarzony z życiem. Stąd stosowany był w kulcie zmarłych już od paleolitu, gdzie czerwień towarzyszyła zmarłemu na ostatniej drodze" - uważa badaczka.

"We wczesnej epoce żelaza nadal próbowano umożliwić zmarłemu pomyślne przejście do świata zmarłych posługując się symboliką związaną z czerwiecią, kryjącą się wówczas w specjalnie spreparowanej farbie i odpowiednich wzorach" - dodaje dr Łaciak.

W jaki sposób malowano naczynia? "W przypadku cienkich kresek i kropek, z których składa się większość wzorów, narzędziem musiał być pędzel z miękkiego i cienkiego włosia, niepozostawiający po sobie śladów. Obecnie w przemyśle ceramicznym dla otrzymania takiego efektu wykorzystuje się pędzle wykonane z włosia bobrowego" - wskazuje badaczka.

Zaskoczeniem dla archeolog były wnioski dotyczące sposobu wykonywania naczyń, wynikające z przeprowadzonych analiz archeometrycznych. Powstawały albo na kole

garncarskim (do tej pory uważano, że jego znajomość pojawiła się w tym rejonie kilkaset lat później wraz z przybyciem Celtów) lub były wyciskane w formach.

"Hipoteza o stosowaniu obu rozwiązań została sprawdzona przez mnie dzięki przeprowadzeniu licznych eksperymentów, w trakcie których powstał materiał porównawczy w postaci naczyń ceramicznych wzorowanych na oryginałach. Wynika z niego, że glina typu kaolinowego - najczęściej stosowana na potrzeby malowanych naczyń, nie nadawała się do formowania naczyń w tradycyjny sposób, czyli polegający na łączeniu wałków gliny" - opowiada dr Łaciak.

Badaczka uważa, że ponad 2,5 tys. lat temu nad Odrą zastosowano niespotykane dotychczas rozwiązania techniczne w produkcji i sposobach zdobienia naczyń ceramicznych. Po kilkuset latach jednak ta wiedza - zwłaszcza w kwestii zdobienia malunkami - poszła w zapomnienie...

PAP - Nauka w Polsce

Autor: Szymon Zdziebłowski

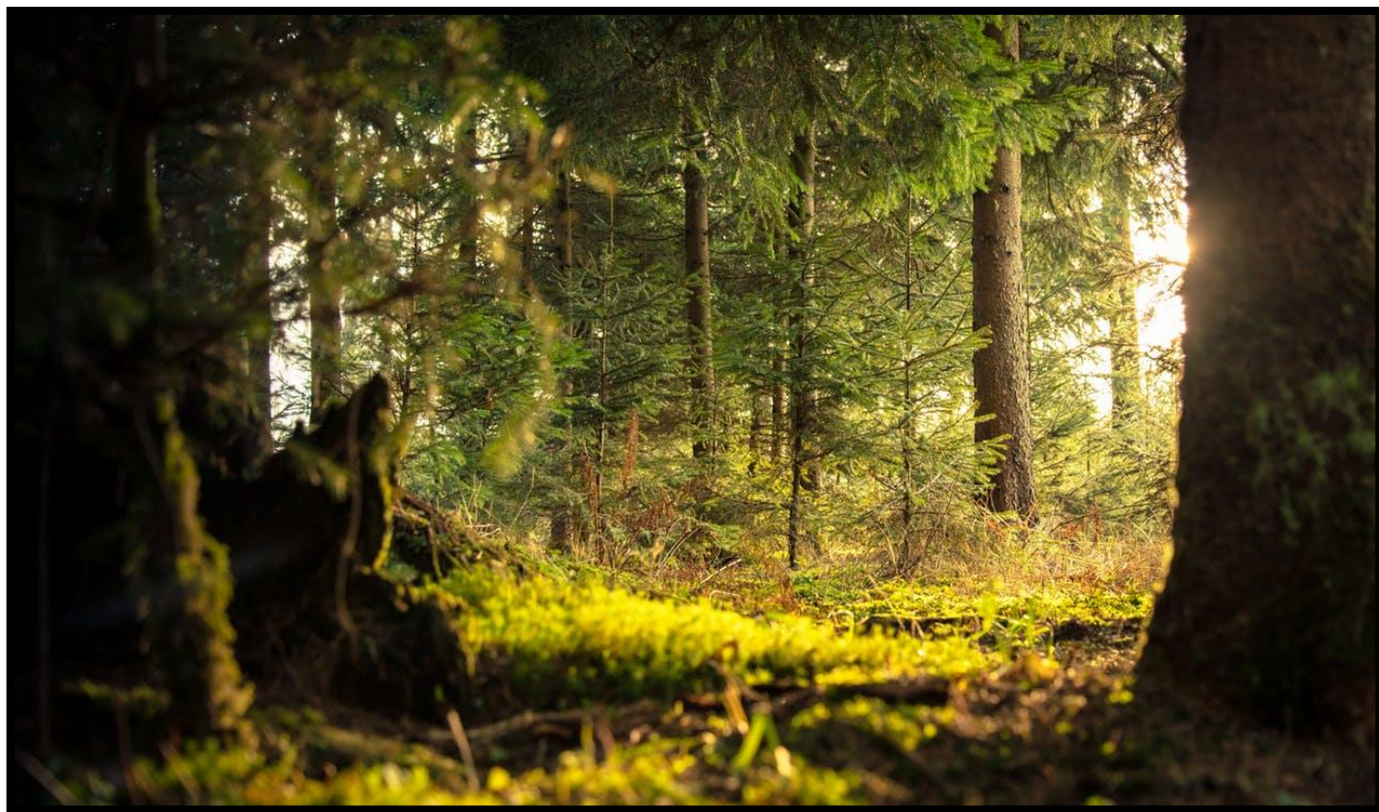
szz/ ekr/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

The poster features the logo of MHKI (Museum of Computer and Information History) in the top left corner. The main text reads 'NOC MUZEÓW' in large white letters, with '19 Maja 2018' and 'godz. : 18.00 - 01:00' below it. A small Polish flag icon is accompanied by the text '70 lat IT w Polsce'. On the right side, there is an illustration of a vintage computer monitor displaying a stylized blue and white graphic of a person's head with musical notes and lines, and a white computer tower below it. The background is dark with a grid of glowing blue and red lines.

Poznajemy dzieje Puszczy Białowieskiej



To, co obecnie wiemy o obecności i wpływie człowieka na Puszcę Białowieską w pradziejach i w średniowieczu, to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Dopiero zaczynamy poznawać i rozumieć to zagadnienie - powiedział PAP archeolog z PAN Dariusz Krasnodębski.

Puszcza Białowieska jest ostatnim lasem naturalnym na Niżu Europejskim. To m.in. ostoja żubra, miejsce gdzie w naturalnym otoczeniu można spotkać wilki i rysie. Jest atrakcją dla miłośników przyrody. W jej obrębie znajduje się wydzielona część, która ma status parku narodowego. Puszcza jest jedynym polskim obiektem przyrodniczym, wpisanym przez UNESCO na listę Światowego Dziedzictwa.

Badaniem dziejów tego obszaru zajmuje się od 2003 r. archeolog z Instytutu Archeologii i Etnologii (IAE) PAN w Warszawie, Dariusz

Krasnodębski. W zeszłym roku - po raz pierwszy do badań włączyła się strona białoruska.

"To, co obecnie wiemy o osadnictwie puszczańskim, to wierzchołek góry lodowej. Dopiero zaczynamy poznawać i rozumieć, z jak wielkim i doskonale zachowanym bogactwem kulturowym mamy możliwość obcować" - powiedział PAP naukowiec.

Najstarsze ślady pobytu człowieka na terenie puszczy pochodzą z okresu mezolitu, czyli z czasów pomiędzy 8 a 4 tysiącami lat przed

p.n.e.- wynika z badań naukowca. "Ale pierwsze stałe osady wznoszono tam dopiero na przełomie er" – dodaje badacz, zastrzegając, że dalsze badania mogą przynieść dalsze rewelacje w tym zakresie.

Rozpoznanie terenu puszczy zespół IAE PAN rozpoczął od analizy zobrażeń uzyskanych w wyniku lotniczego skanowania laserowego (ALS). Metoda ta umożliwia wytypowanie śladów po dawnej działalności człowieka, mimo że obszar porośnięty jest gęstym lasem.

Krasnodębski podsumował właśnie ubiegłoroczne badania w tym rejonie. Jak podkreśla, bogate wyniki były możliwe dzięki szeroko zakrojonej współpracy z różnymi instytucjami. "A dzięki kooperacji z Białorusinami - co stało się po raz pierwszy w kwestii rozpoznania archeologicznego Puszczy Białowieskiej - przeprowadziliśmy również wykopaliska w białoruskiej części" - dodaje badacz.

Podczas badań wykopaliskowych jednego z kilkudziesięciu kopców ziemnych odkrytych w południowej części Puszczy Białowieskiej (po stronie białoruskiej) w okolicy wsi Kamieniuki archeolodzy pozyskali wiele narzędzi i półproduktów wykonanych z krzemieni. W ich ocenie przebadany nasyp konstrukcji pochodzi z epoki brązu, czyli zapewne ma ok. 4 tys. lat.

Również w sąsiedztwie tej wsi archeolodzy natrafili na pozostałości osady z wczesnej epoki żelaza, gdzie odkryto kilkadziesiąt fragmentów naczyń ceramicznych oraz zabytków krzemiennych. "Znaleziska świadczą o tym, że niewielkie wydmy wyspy położone nad rzeką Leśną Prawą były interesującym miejscem dla pradziejowych osadników" - uważa archeolog.

W 2018 r. planowane są kolejne wspólne polsko-białoruskie badania, ale jak podkreśla Krasnodębski - wszystko zależy od uzyskania środków. Te prowadzone były w porozumieniu z Narodową Akademią Nauk Białorusi i Narodowym Parkiem Puszcza Białowieska.

Interesujące odkrycia miały również miejsce w zeszłym roku na obszarze puszczy po stronie polskiej. W kilku miejscach archeolodzy natknęli

się na pozostałości po bytności w tym miejscu ludności określanej przez archeologów jako kultura wielbarska. Naukowcy uważają, że składały się na nią różne społeczności germańskie, które zamieszkiwały obecny teren Polski w pierwszych wiekach naszej ery.

"Wykonaliśmy niewielkie wykopaliska w obrębie osady z tego okresu - chcieliśmy potwierdzić, że faktycznie możemy ją wiązać z tą kulturą, bo do tej pory z terenu Puszczy znane były jedynie pozostałości cmentarzysk wielbarskich. Tym razem mamy niepodważalne świadectwo istnienia tu również rozległych osad wiejskich. Tylko w jednym małym wykopie odnaleźliśmy ponad 350 fragmentów glinianych naczyń z III-V w. n.e.!" - mówi Krasnodębski. Archeolodzy odkryli też ścianę zawalonego budynku, która przykrywała czworokątne palenisko.



W sąsiedztwie osady znajdowało się natomiast 10 kopców ziemnych. Te jednak służyły zapewne jako grobowce (wykopaliska planowane są w 2018 r.) wczesniejszej społeczności określanej jako kultura ceramiki kreskowej (IV w. p.n.e. - III w. n.e.). "Do tej pory ślady po osadach tych ludzi znane były głównie z obszaru Litwy i Białorusi, nikt jednak nie zidentyfikował cmentarzysk" - dodaje Krasnodębski. W nasypach znaleziono skorupy naczyń zdobione charakterystycznymi wzorami, od których pochodzi nazwa tej kultury archeologicznej.

Jako jedno z ważniejszych ustaleń dotyczących badań związanych z obecnością człowieka w Puszczy Białowieskiej naukowiec wskazuje doskonały stan zachowania wszelkich śladów działalności ludzkiej.

"Niezależnie od tego, czy są to osady sprzed 2 tysięcy lat, czy kopce produkcyjne sprzed 200 lat - wszystkie one są doskonale widoczne. Wynika to z tego, że tereny Puszczy nigdy nie były, jako całość, orane czy odlesiane, więc wszystkie pozostałości miały możliwość przetrwania" - podkreśla naukowiec. Jednocześnie dodaje, że nie oznacza to wcale, że puszcza była w jakimś okresie w całości zasiedlona.

"Wiemy, że osady zajmowały tereny wyżej położone i funkcjonowały głównie na terenie dużych polan, pośród porastających te tereny jeszcze do XII-XIII w. wielkich obszarów leśnych" - podsumował.

PAP - Nauka w Polsce

autor: Szymon Zdziebłowski

szz/ agt/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels



**panele
podłogowe**

z montażem **GRATIS**
na terenie całego kraju

www.swiatpaneli.com



Świat Paneli

Podsumowanie badań grodzisk wczesnośredniowiecznych Polski Centralnej



12 grodzisk wczesnośredniowiecznych przebadali łódzcy archeolodzy w czasie kilkuletnich badań na terenie środkowej Polski. Część z konstrukcji okazała się większa, albo przebieg ich linii obronnych był inny - ustalili badacze.

"To jeden z pierwszych tego typu programów, wykorzystujących na taką skalę metody nieinwazyjne (niewymagające wykopalisk - PAP) w skali całej archeologii średniowiecznej w kraju. Jako jedni z pierwszych prezentujemy wyniki takiego projektu dla dużego regionu, który we wczesnym średniowieczu mógł stanowić zwartą prowincję państwa Piastów" - poinformował PAP kierownik przedsięwzięcia, dr Jerzy Sikora z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego.

Badacze skoncentrowali się na grodziskach położonych w większości w woj. łódzkim: w Chełmie, Krzepocinku, Mnichowie, Okopach, Rękoraju, Rozprzy, Spycimierzu, Starych Skoszewach, Szydłowie, Witowie i Żarnowie oraz w Ewinowie (woj. wielkopolskie). Przebadano również tereny położone wokół nich.

Naukowcy wykorzystali różnorodne metody geofizyczne: magnetyczną, elektrooporową i georadarową. Wszystkie umożliwiają poznanie tego, co zalega pod powierzchnią ziemi -

wszystko bez wbicia łopaty. Oprócz tego skorzystali też m.in. z lotniczego skanowania laserowego (ALS) dostępnego dzięki ogólnopolskiemu programowi ISOK, z dronów oraz samolotów. Archeolodzy udali się również w teren - poszukiwali na powierzchni ziemi przedmiotów zabytkowych (głównie fragmentów naczyń ceramicznych) wyoranych podczas prac polowych.

"Wyniki tych badań pozwoliły na znaczące uzupełnienie wiedzy o wczesnośredniowiecznych grodziskach, wznoszonych w Polsce Centralnej od schyłku VIII wieku, najpierw przez społeczności plemienne, później, od około połowy X wieku przez państwo Piastów" - uważa dr Sikora.

Dr Sikora przyznaje, że w obrębie wszystkich dwunastu badanych grodzisk otrzymano nowe informacje na temat ich przeszłości. Okazało się, że niektóre z nich (m.in. w Chełmie czy Rękoraju) posiadały wewnątrz bardziej złożone konstrukcje niż do tej pory sądzono. Ustalono też, że wszystkim grodom towarzyszyły pierwotnie nieobwarowane osady, które stanowiły zapewne ekonomiczne zaplecze obronnych ośrodków. "Nktóre z nich były znane wcześniej, ale inne, np. w Krzepocinku czy Szydłowie zostały rozpoznane dopiero przez nas" - dodaje.

Badacze ustalili też, że część z grodów była większa niż do tej pory sądzono. Tak było np. w przypadku tego w Witowie. Dr Sikora podkreśla, że na powierzchni jest on niemal niewidoczny. Wały grodu zostały zniwelowane w wyniku prowadzonych w tym rejonie prac ziemnych oraz rolniczych. Rekonstrukcja rozplanowania grodu była możliwa dzięki zastosowaniu różnych metod nieinwazyjnych. "Kolejne ekipy archeologów na podstawie prowadzonych niewielkich wykopalisk próbowały zrekonstruować jego powierzchnię, ale bezskutecznie" - zaznacza.

Lotnicze skanowanie laserowe pozwoliło między innymi na wykrycie nieznanych wcześniej linii obronnych grodziska w Chełmie czy zarejestrowanie reliktyw średniowiecznych dróg, prowadzących do grodzisk w Krzepocinku, Mnichowie i Rozprzy.

Archeologom udało się również potwierdzić, że część grodów była zamieszkiwana stale oraz zabudowana, inne natomiast nie noszą śladów zabudowy i mogły być wykorzystywane tylko w okresach zagrożenia.

Dr Sikora mówi, że wyniki uzyskane w ramach przeprowadzonych badań nie zmieniły wizji średniowiecznych dziejów Polski Centralnej. W jego ocenie ten rejon, mimo że znajdował się w centrum kraju, był wówczas osadniczą prowincją, do czego zapewne przyczyniły się warunki naturalne m.in. w postaci niezbyt wartościowych rolniczo gleb.

"To, co uważamy za swój sukces, poza ustaleniami szczegółowymi dotyczącymi np. przebiegu wałów czy zlokalizowania elementów infrastruktury, to właśnie uchwycenie szerszego kontekstu funkcjonowania grodu. Jest to więc trochę inna historia - nie polityczna, ale osadnicza i gospodarcza" - podsumował.

Wyniki prac trwających od 2013 do 2016 r. opublikowano właśnie w tomie "Grodziska wczesnośredniowieczne Polski Centralnej". W projekcie wzięli udział badacze związani z łódzkim oddziałem Stowarzyszenia Naukowego Archeologów Polskich. Środki na ten cel pochodziły z Narodowego Instytutu Dziedzictwa i Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziebłowski

szz/ ekr/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

Prześlik z Cermna



Jedyny znany z terenu Polski wczesnośredniowieczny prześlik - niewielki, dwustożkowy przedmiot, będący ruchomą częścią wrzeciona - na którym znajduje się napis, odkryli archeolodzy w Cermnie (woj. lubelskie).

Prześliki są przedmiotami obciążającymi wrzeciona, zapobiegają zsuwaniu się z nich nici a także ułatwiają ich ruch obrotowy. Mają różny kształt - bywają m.in. kuliste lub dwustożkowe. W ich środku znajduje się otwór. Wykonane są najczęściej z gliny, rzadziej z kamienia.

Opisywany zabytek znaleziono podczas wykopalisk ponad 60 lat temu. Jednak dopiero teraz, w czasie analiz odkrytych wówczas zabytków, napis dostrzegła Iwona Florkiewicz z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Rzeszowskiego.

"Co ciekawe archeolodzy prowadzący badania w Cermnie w 1952 r. nie dostrzegli, że pozornie bezładne kreski układały się w napis. To sytuacja bez precedensu - do tej pory z terenu Polski nie jest znany żaden prześlik z tego czasu pokryty pismem" - opowiada PAP Florkiewicz. Archeolog zastrzega, że nie ma pewności, czy w zbiorach polskich muzeów nie znajdują się

kolejne tego typu zabytki, które nie zostały dotychczas rozpoznane. "Prawdopodobnie nie spodziewano się, że przęśliki mogą posiadać napisy, dlatego też nie analizowano ich pod tym kątem" - kwituje.

Egzemplarz z Czermna wykonano z tzw. łupku owruckiego, który nie jest surowcem lokalnym - jego wychodnie znajdują się na terenie dzisiejszej Ukrainy, w okolicach miejscowości Owrucz (stąd nazwa).

"Trudno powiedzieć, czy przęślik wykonano już w Czermnie, czy też przywieziono go ze wschodu. Jednak z całą pewnością jest pochodzenia ruskiego. Podobne przęśliki pokryte literami znane są z tego samego czasu z terytorium dawnej Rusi, czyli obecnej Ukrainy, Rosji i Białorusi" - dodaje archeolog.

Z badań paleograficznych (czyli nad formą zapisu) wykonanych przez dr. Adriana Jusupovića, historyka z Instytutu Historii PAN w Warszawie wynika, że inskrypcja powstała w 2 poł. XII w. lub w wieku XIII.

Na przęśliku znajduje się napis złożony z 6 liter zapisanych w cyrylicy, który spolszczony brzmi: Hoteń. Jest to imię męskie, które oznaczało miłośnika, ochotnika lub mistrza. Nie jest również wykluczone, że napis ma charakter toponimu - wówczas należałoby go łączyć z nazwą miejscowości. Jednak zdaniem badaczy ta druga opcja jest mniej prawdopodobna.

Według archeologów w dzisiejszym Czermnie na Lubelszczyźnie znajdował się Czerwień - główny ośrodek Grodów Czerwieńskich, o które toczyli walki Piastowie z władcami Rusi już od X w. Bolesławowi Chrobremu udało się je odzyskać w 1018 r., ale po jego śmierci Jarosław Mądry odbił je z powrotem w 1031 r. Dopiero w XIV w. Kazimierz Wielki przyłączył tereny

dawnych Grodów Czerwieńskich z powrotem do Polski.

"Zatem przęślik pochodzi zapewne z czasów, kiedy obszar ten znajdował się pod panowaniem Rusi. Należy również pamiętać, że Czermno było grodem pogranicznym, w którym mieszały się wpływy kulturowe zarówno ze wschodu, jak i z zachodu" - dodaje Florkiewicz.

"Nie mamy pewności, czy przęślik spełniał swoją pierwotną funkcję - służył do przędzenia - czy też został użyty wtórnie np. jako amulet. Tej drugiej opcji nie można wykluczyć" - uważa Florkiewicz. Dodaje również, że zdaniem badaczy podobne napisy oznaczały m.in. przynależność do właściciela. Znane są przęśliki z imionami kobiet oraz mężczyzn. „Niewykluczone również, że imię męskie oznacza w tym przypadku jego wytwórcę" - podsumowuje.

Przęślik odkryto we wnętrzu grodu, poza zabudowaniami, co może sugerować, że został zgubiony. Obecnie zabytek przechowywany jest w Muzeum Zamojskim w Zamościu.

Na przęślik naukowcy natrafili podczas prac związanych z porządkiem archiwalnych znalezisk z Czermna (pozyskanych na przestrzeni kilkudziesięciu lat) w ramach projektu naukowego „Złote jabłko polskiej archeologii...”, realizowanego ze środków Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki pod kierunkiem prof. Marcina Wołoszyna.

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziebłowski

szz/ agt/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Niezwykła wędrówka kultury w prehistorycznej Europie



foto: Ralph Morris: Freeimages.com

Na terytorium Polski, na Sycylię czy Wyspy Brytyjskie docierały w czasach prehistorycznych zdobycze kulturowe z Półwyspu Iberyjskiego. O migracjach i transmisji artefaktów z czasów kultury pucharów dzwonowatych w Europie donoszą naukowcy w „Nature”.

W badaniach uwzględniono dane uzyskane podczas badań 400 prehistorycznych szkieletów z całej Europy. Badania kierowane były przez naukowców z Harvard University (USA), a zespół składał się ze 144 archeologów i genetyków z ośrodków w USA i Europie. Wśród

autorów publikacji są naukowcy z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego (UWr) – Mirosław Furmanek, Agata Hałaszkó i Maksym Mackiewicz, oraz Elżbieta Haduch z Uniwersytetu Jagiellońskiego i Piotr Włodarczyk z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN w Krakowie.

W innym artykule w tym samym numerze "Nature" zespół naukowców, również koordynowany przez badaczy z Harvardu, prezentuje wyniki zsekwencjonowania ponad dwustu prehistorycznych ludzkich genomów.

Badania prowadzono po to, by prześledzić początki rolnictwa w Europie.

Są to największe jak dotąd badania oparte na zsekwencjonowaniu prehistorycznego DNA.

Okolo 4,7 a 4,4 tys. lat temu w Europie zachodniej i środkowej pojawił się nowy typ ceramiki – dzwonowate, wydłużone puchary. Były one dziełem mieszkańców Półwyspu Iberyjskiego. Od kształtu ceramiki nadano nazwę całej kulturze. Puchary docierały na terytorium zajmowanym obecnie przez Polskę, na Sycylię czy Wyspy Brytyjskie.

Znaleziska tych wyrobów zapoczątkowały trwającą ponad sto lat debatę: czy za ich rozprzestrzenieniem kryje się migracja ludzi na dużą skalę, a podobieństwo znalezisk wynika z istnienia wówczas "ludu pucharowego", ściśle definiującego swoją tożsamość etniczną, czy też wynikało to z istnienia swego rodzaju "mody" na pewne typy przedmiotów luksusowych wśród ówczesnych elit społecznych - czytamy w informacji prasowej przekazanej przez UWr.

W ciągu wielu lat badań kolebkę tego zjawiska lokalizowano w różnych miejscach (np. Francja, Bliski Wschód, Egipt, Holandia czy Europa Środkowa), często wskazując na Półwysep Iberyjski, gdzie pewne elementy kultury materialnej pojawiły się najwcześniej.

Jak zaznaczają autorzy publikacji w "Nature", nie udało się potwierdzić transmisji genetycznej. To pozwala sądzić, że przekaz kulturowy odbywał się – początkowo przynajmniej – bez migracji. Jak podkreślają, jest to pierwszy przykład przekazywania kultury jako takiej, bez masowego przemieszczania się ludności.

Wyniki badań wskazują, że kultura pucharów dzwonowatych początkowo rozprzestrzeniła się z Półwyspu Iberyjskiego po Europę Środkową bez widocznych migracji. Później jednak – z Europy Środkowej i Zachodniej - dotarła ona do

innych miejsc z towarzyszeniem ruchów migracyjnych.

Najpierw niesiona przez miejscowe ludy powędrowała ku Wyspom Brytyjskim, gdzie przy okazji zostało zastąpione ok. 90 proc. tamtejszej populacji. Zniknęli neolityczni budowniczości Stonehenge, w ich miejsce zaś pojawiła się ludność z obszarów Niemiec i Holandii.

Ta wymiana populacji była niemal całkowita w zakresie chromosomu Y, czyli tego, który jest przekazywany w linii męskiej.

"Nasze próbki, pochodzące z kilku stanowisk z terenu Dolnego i Górnego Śląska, analizowane były w Laboratorium Davida Reicha z Wydziału Genetyki Harvard Medical School w Bostonie i wykonywane były przez zespół pod kierunkiem Davida Reicha i Iñigo Olalde" – podkreśla dr Furmanek w materiale przesłanym przez UWr. - "Największa liczba próbek pochodzi z niezwykle interesującego cmentarzyska kultury pucharów dzwonowatych w Kornicach, w gminie Pietrowice Wielkie, w województwie śląskim. Dla tych pochówków uzyskaliśmy również interesujące informacje dotyczące relacji rodzinnych pomiędzy niektórymi zmarłymi. Zidentyfikowano ojca oraz dwójkę jego dzieci – syna i córkę".

Podobna fala migracyjna dotarła do północnych Włoch i na Półwysep Iberyjski. Prawdopodobnie te fale migracyjne szły w parze z ekspansją języków celtyckich lub protoceltyckich.

Więcej: www.nature.com/articles/nature25738; www.nature.com/articles/nature25778 (PAP)

krx/ zan/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

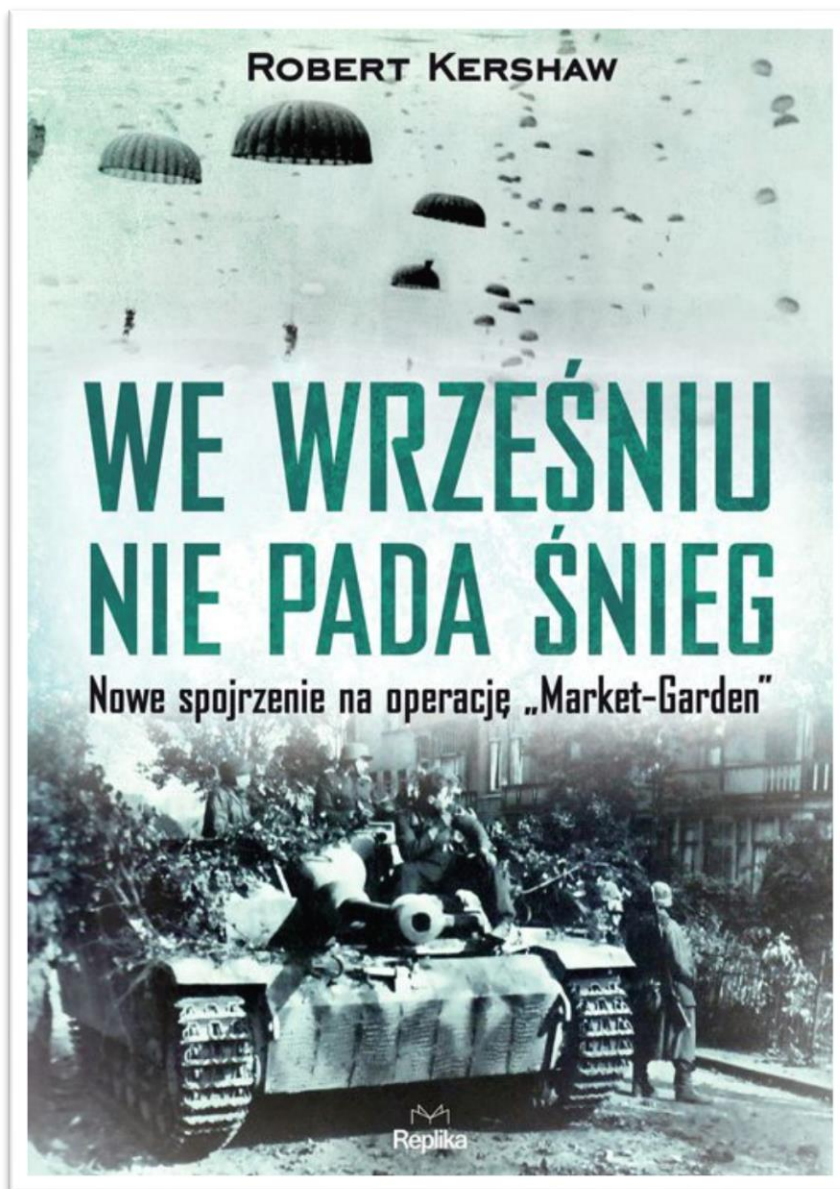
We wrześniu nie pada śnieg. Nowe spojrzenie na operację „Market-Garden”

Operacja „Market-Garden” i bitwa pod Arnhem z zupełnie nowej perspektywy!

17 września 1944 roku porucznik Joseph Enthammer, oficer artylerii Wehrmachtu, spoglądając w kierunku Oosterbeeku, ujrzał coś, co wydało mu się białymi płatkami śniegu wiszącymi w powietrzu. „Nie może być”, zdumiał się. „We wrześniu nie pada śnieg!”. Rzekome płatki śniegu były w istocie brytyjskimi spadochroniarzami. Enthammer zaś oglądał początek operacji „Market-Garden” – ogromnej ofensywy alianckich sił powietrznodesantowych. Miała ona otworzyć drogę, wiodącą holenderskimi mostami do serca III Rzeszy.

Lekko uzbrojonym, ale doskonale wyszkolonym, agresywnym i doświadczonym żołnierzom amerykańskim, brytyjskim i polskim Niemcy przeciwstawili naprędce sformowane oddziały. Do dyspozycji mieli bezładną zbieraninę ocalałych z równie bezładnego odwrotu z Francji. Teoretycznie skazani byli na klęskę, a jednak zadali przeciwnikowi mocny i niespodziewany cios. Ostatecznie operacja „Market-Garden” zakończyła się bolesną porażką państw alianckich. Tym bardziej dotkliwą, że zadały ją jednostki słabe, przetrzebione, czy też – jak cała 1. Armia

Spadochronowa generała Studenta – jeszcze kilkanaście dni wcześniej istniejące głównie na papierze. Robert Kershaw przedstawia losy „Market-Garden” z perspektywy odmiennej niż zwykle, na ogół ignorowanej lub spychanej na drugi plan – z perspektywy niemieckiej. Dzięki temu We wrześniu nie pada śnieg to lektura oryginalna, wręcz obowiązkowa dla każdego, kto poznał już przebieg tej ogromnej operacji desantowej, widzianej oczami aliantów.



Tysiące zabytków ze średniowiecznego miasta w Dzwonowie



Przez lata mieszkańcy na zaoranych polach natrafiali na kości, ale średniowieczny gród pozostawał tylko w sferze legend. Zapomniane, średniowieczne miasto w Dzwonowie odkryto dopiero w 2014 r. – od tego czasu odnaleziono tam już łącznie ok. 70 tys. zabytków.

Pierwsze wzmianki o Dzwonowie (Wielkopolskie), występującym w literaturze także pod nazwą Swanowo lub Zwanowo, pochodzą z początku XIV w. Mimo, że w czasach średniowiecznych Dzwonowo było prężnym ośrodkiem miejskim zamieszkiwanym przez ok. 200 mieszkańców, z kościołem, rezydencją rycerską i rynkiem, to przez lata

istnienie tego grodu funkcjonowało tylko w miejscowych legendach.

Obecnie Dzwonowo liczy zaledwie kilka domostw. Jeszcze niedawno mieszkańcy na polach po orce odnajdowali kości. Według ich opowieści, tereny te od co najmniej 10 ostatnich lat były grabione też przez samozwańcych "poszukiwaczy skarbów". Wieś jest położona w Puszczy Zielonce, otacza ją gęsty las. Na relikty dawnego miasta natrafiono tu dopiero w 2014 r. dzięki zdjęciom lotniczym. Pozostałości dawnych zabudowań były widoczne tylko dlatego, że znajdowały się na terenach pól uprawnych.



"Kiedy w 2014 r. rozpoczynaliśmy badania, obecni mieszkańcy Dzwonowa nadal podchodzili do tego z przymrużeniem oka, jakbyśmy badali jakąś legendę czy wręcz bajkę. Dopiero kiedy udało nam się to miasto odnaleźć i zlokalizować, mieszkańcy uwierzyli, że mieszkają w miejscowości, która ma średniowieczne tradycje" – podkreślił archeolog.

Badaniami od początku zajmowało się Muzeum Regionalne w Wągrowcu; a ostatnie dwa lata badań (2016-2017) finansowane były ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W tym czasie prowadzono badania nieinwazyjne. Archeolog kierujący badaniami i jednocześnie odkrywca zaginionego miasta Marcin Krzepakowski powiedział PAP, że dzięki tym pracom udało się ustalić, że pierwsze ślady człowieka w tym miejscu pochodzą już z epoki schyłkowego paleolitu, czyli z okresu 12-10 tys. lat temu.

"Najwięcej śladów mamy jednak w tym miejscu z epoki średniowiecza. W XIII w. w Dzwonowie powstała najpierw niewielka wieś zbudowana na planie owalnicy, a niedługo później założono tu miasto lokacyjne należące do rodu Nałęczów, które prosperowało w tym miejscu przez ok. 150 lat. Kiedy w pobliżu tego miejsca zaczęły powstawać inne ośrodki miejskie, jak Murowana Goślina czy Skoki – Dzwonowo, jako miasto, zaczęło się chylić ku upadkowi. W XVI w. miejscowość liczyła już tylko sześć gospodarstw, a obecnie są tu tylko cztery domy" – mówił PAP Krzepakowski.

Jak tłumaczył, pamięć o średniowiecznym mieście długo pozostawała w przekazywanych z pokolenia na pokolenie legendach m.in. o zatopionym kościele p.w. św. Michała, o dzwonach, które czasem jeszcze tu słychać, czy o epidemii cholery, która miała pogrzebać mieszkańców miasta.

Dzięki pracom prowadzonym na powierzchni pól, zabytków ruchomych, takich jak monety, kościane grzebienie, żelazne noże, fragmenty ceramiki czy uzbrojenia, udało się zebrać ponad 35 tys. Łącznie ważyły ponad 181 kg. Krzepakowski dodał jednak, że łączna liczba wszystkich zabytków odnalezionych w Dzwonowie jest dwukrotnie większa, czyli liczy ok. 70 tys. obiektów. "To bardzo duża liczba, szczególnie w odniesieniu do powierzchni, jaką udało nam się rozpoznać do tej pory w Dzwonowie, a jest to zaledwie może 1 proc. powierzchni całego stanowiska" – zaznaczył.

"Jednym z najciekawszych zabytków było np. okucie pasa znalezionej w jednej z chat przy rynku. Okucie zostało odlane ze stopu miedzi i przedstawia Madonnę w średniowiecznej szacie, która jedną nogę opiera na lwie. Najprawdopodobniej jest to okucie mieszczkańskiego pasa paradnego, które ma symbolizować pokonanie szatana" – ocenił archeolog.

Dzięki badaniom naukowcom udało się stworzyć wizualizację średniowiecznego miasta. Krzepakowski tłumaczył, że życie przeciętnego mieszkańca Dzwonowa nie było łatwe, "mieszkańcy musieli walczyć z różnymi przeciwnościami, z chorobami, ale i także z przyrodą; z wylewami rzeki, suszą".

"Dzięki ostatnim badaniom możemy też już więcej powiedzieć o kondycji zdrowotnej mieszkańców. Udało nam się rozpoznać fragment cmentarza związanego z nieistniejącym już kościołem. Przebadaliśmy dotychczas ok. 100 grobów i dzięki temu wiemy, że większość z tych osób umierała w wieku 25-35 lat" - mówił Krzepakowski.

Dodał, że dzięki środkom z ministerstwa udało się przeprowadzić też wiele specjalistycznych analiz, w tym badania m.in. kości zwierzęcych odnalezionych na terenie średniowiecznego dworu rycerskiego i późniejszej rezydencji szlacheckiej. "W trakcie analizy wydzielono tam fragmenty pancerza żółwia i przypuszczamy, że był on konsumowany przez ówczesnych mieszkańców. Nie ograniczono się więc tylko do zwierząt hodowlanych czy zwierzyny łownej, ale dietę uzupełniano także rybami czy właśnie innymi zwierzętami wodnymi, jak np. żółwiami. Odnaleziono tu też dużą serię kości i łusek ryb; wiemy, że spożywano tu karasie, leszcze, szczupaki" – tłumaczył archeolog.

Zaznaczył, że dzięki m.in. badaniom pyłków roślinnych zanalizowane zostało też ówczesne środowisko przyrodnicze. "Udało się określić jak wyglądała w tamtym czasie szata roślinna, jaki był stan wód. Wiemy też, że uprawiano tu konopie, żyto, pszenicę i chmiel, który – jak wiadomo – był niezwykle ważny w średniowiecznym mieście, bo to piwo było wówczas głównym napojem" – powiedział Krzepakowski.

W ostatnich dwóch latach badacze zajmowali się też szczegółową kwerendą historyczną



Dzwonowa. Poza przybliżeniem historii miasta i dziejów jego właścicieli, badacze natrafili również na postać astronoma, matematyka Piotra z Dzwonowa, który żył w XV wieku. Był on jednym z twórców krakowskiej szkoły astronomicznej, w której później studiował Mikołaj Kopernik.

Badacze podkreślają, że przeprowadzone badania dostarczyły dużej informacji o dziejach Dzwonowa, jednak nie wyczerpały potencjału badawczego tego miejsca. W tym roku prace będą kontynuowane. Archeolodzy planują przeprowadzić m.in. badania ratownicze dworu rycerskiego i siedziby szlacheckiej. Niebawem ma się także ukazać publikacja podsumowująca dotychczasowe badania w Dzwonowie. (PAP)

autor: Anna Jowska

ajw/ karo/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

Odkrycie w rzeszowskiej bazylice



Pozostałości jam grobowych, pochodzących prawdopodobnie sprzed XVII wieku, w których znajdowały się ludzkie szczątki, odkryto w czasie prac remontowo-konserwatorskich pod posadzką bazyliki Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Rzeszowie.

Odkrycia w należącej do bernardynów bazylice dokonali, już na początku prac, archeolodzy z Fundacji Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego. Pod usuniętą posadzką

natrafili oni na pozostałości jam grobowych. Zdaniem Dariusza Bobaka z fundacji mają one związek z dawnym cmentarzem, który znajdował się w miejscu obecnego kościoła, jeszcze przed jego budową, czyli przed początkiem XVII wieku.

W czasie badania jam grobowych archeolodzy odnaleźli cenne zabytki, m.in. fragmenty ceramiki, gwoździe, monety oraz kości.

„Niezwykle ważne okazało się odsłonięcie dwóch krypt, w tym jednej nieznannej wcześniej. Większa, ulokowana po południowej stronie transeptu, składa się z kilku pomieszczeń. Pochowanych zostało w niej co najmniej pięć osób. Szczątki złożone były w trumnach w pozycji wyprostowanej, z rękami złożonymi do modlitwy” – mówił Bobak.

Antropolog Joanna Rogóż powiedziała, że są to kości 4 osób dorosłych, w tym co najmniej jednej młodej, około 25-letniej, a także jednego małego dziecka, być może niemowlęcia. Dwie czaszki zostały przecięte w poprzek, co oznacza, że były to osoby wyższej klasy społecznej.

Oprócz fragmentów trumien zachowały się także m.in. elementy strojów i różańca.

W drugiej, mniejszej krypcie, znajdującej się po przeciwnej stronie, odkryto pozostałości kilku trumien, wypełnionych prawdopodobnie także kośćmi. Ta krypta nie została jeszcze zbadana.

Bobak dodał, że te krypty są młodsze, powstały bowiem już w obecnym kościele, czyli sięgają najdalej XVII wieku.

Zapowiedział, że znajdujące się w kryptach szczątki ludzkie oraz pozostałości trumien, zostaną poddane dalszym analizom, które pozwolą określić wiek, płeć oraz kondycję fizyczną pochowanych osób.

Ocenił też, że choć badania archeologiczne prowadzone w kościele bernardynów w Rzeszowie są dopiero w początkowej fazie to już dostarczyły wielu ważnych informacji.

„Przede wszystkim pozwoliły uprawdopodobnić informację o istnieniu poprzedzającego bazylikę

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

drewnianego kościółka. Badania krypt pozwolą, być może, na powiązanie pochowanych osób z postaciami historycznymi” – dodał archeolog.

Ojciec Rafał Klimas, kustosz sanktuarium przypomniał, że w kościołach nie chowano zwykłych mieszkańców, ale osoby znamienitsze, takie jak np. fundatorów, czy też opatów, przeorów. Wyraził przypuszczenie, że mogą to być szczątki Lubomirskich, czy Ligęzów.

Na jamy grobowe natrafiono podczas drugiego etapu prac remontowo-konserwatorskich w bazylice, obejmującego posadzkę, polichromie na ścianach. Odkrycia pod posadzką są pewnego rodzaju zaskoczeniem, bowiem nie spodziewano się znaleźć jam grobowych starszych niż świątynia.

Koszt całkowity projektu remontowo-konserwatorskiego w bazylice to 3,6 mln zł. Prace potrwają do końca października br.

Fundacja Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego powstała w 2004 roku. Jej podstawową działalnością jest prowadzenie badań archeologicznych na terenach objętych ochroną konserwatorską.

Fundacja realizuje także programy finansowane w ramach priorytetu "Ochrona dziedzictwa archeologicznego" Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jest sponsorem i współorganizatorem ogólnopolskiego konkursu na najlepszą pracę magisterską z archeologii.

PAP - Nauka w Polsce, Agnieszka Pipała

api/ ekr/

W Chartumie powstanie Polski Ośrodek Archeologiczny



Prowadzenie badań naukowych oraz wsparcie logistyczne i organizacyjne polskich misji archeologicznych zapewni Polski Ośrodek Archeologiczny w Chartumie w Sudanie. Nowa placówka, należąca do Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW, zostanie otwarta 27 lutego.

Ośrodkiem będzie kierować prof. Mahmoud el-Tayeb, związany przez całą karierę naukową z Uniwersytetem Warszawskim. Obecnie prowadzi on projekt dotyczący formowania się średniowiecznych państw w Nubii, czyli starożytnym Sudanie.

Przestrzeń biurową dla centrum wygospodarowano w budynku National Corporation for Antiquities and Museums (Narodowej Korporacji ds. Starożytności i Muzeów - rządowej agencji zajmującej się zabytkami). Bazę mieszkaniową ma stanowić dom w nieodległej dzielnicy Fitehad - Omdurman.

Uroczyste otwarcie ośrodka nastąpi 27 lutego z udziałem wiceministra nauki Sebastiana Skuzy i rektora UW prof. Marcina Pałysa. Powołanie ośrodka było możliwe dzięki współpracy z Fundacją Ochrony Dziedzictwa, prowadzoną

przez dr. hab. Henryka Panera - naukowca z Muzeum Archeologicznego w Gdańsku.

"Obecnie w Sudanie pracuje 11 polskich misji wykopaliskowych, prowadzonych przez różne jednostki z całej Polski. Prowadzone są również cztery projekty naukowe, polegające m.in. na badaniu szlaków handlowych w późnej starożytności czy badania antropologiczne starożytnych populacji ludzkich. Dlatego tak bardzo potrzebny był całoroczny ośrodek, który mógłby tego typu działania wspierać na miejscu" - powiedział PAP inicjator powołania ośrodka, dyrektor kairskiej stacji Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej, dr Artur Obłuski.

Jak dodał, obecnie liczba projektów archeologicznych prowadzonych w Sudanie przez Polaków niemal zrównała się z liczbą projektów prowadzonych w Egipcie. Polskim naukowcom udało się nawet uzyskać prestiżowy grant ERC na badania na terenie Sudanu.

Ośrodek w Chartumie będzie miał dwa podstawowe zadania: prowadzenie badań naukowych Uniwersytetu Warszawskiego w regionie oraz wsparcie organizacyjne i logistyczne dla wszystkich polskich naukowców prowadzących badania nad historią i kulturą Sudanu. Placówka będzie należała do Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW, która już teraz posiada całoroczną stację badawczą na terenie Kairu.

Naukowiec podkreśla, że to pierwsza tego typu zagraniczna placówka naukowa na terenie Sudanu. "Podobne zamierzają w najbliższych latach otworzyć Niemcy i Amerykanie, natomiast Francuzi już teraz w ramach swojej ambasady w Chartumie posiadają jednostkę zajmującą się nauką" - dodaje dr Obłuski.

"Ośrodek w Chartumie będzie wspierał nasze misje archeologiczne i projekty naukowe. Polscy naukowcy znajdą tu przestrzeń do pracy, jak również miejsca noclegowe" - dodaje

naukowiec. W imieniu różnych misji archeologicznych pracownicy ośrodka będą również uzyskiwać w Chartumie pozwolenia na prowadzenie badań terenowych czy wywóz próbek do badań za granicą.

"Posiadanie ośrodka pozwoli nam również prowadzić badania zabytków muzealnych na miejscu, jak również promować osiągnięcia naszej nauki i dzielić się nimi w trakcie wykładów i szkoleń dla społeczności międzynarodowej i naszych sudańskich kolegów" - wymienia dr Obłuski.

W najbliższej przyszłości dr Obłuski chciałby - jak mówi - powołać program stypendialny, dzięki któremu dałoby się ufundować dwa równoległe stypendia, dla obywatela Sudanu i Polski. Osoby te prowadziłyby wspólnie komplementarne badania na terenie Sudanu.

Polscy archeolodzy są obecni w Sudanie od ponad pół wieku. W latach 60 XX w. prof. Kazimierz Michałowski, uznawany za nestora polskiej archeologii śródziemnomorskiej, był zaangażowany w ratownicze badania wykopaliskowe w Sudanie w związku z wzniesieniem Wielkiej Tamy Asuańskiej. Jej spiętrzone wody zalały olbrzymie obszary północnego Sudanu i południowego Egiptu. (PAP)

PAP - Nauka w Polsce

Autor: Szymon Zdziebłowski

szz/ zan/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

Monety

Zygmunta II Augusta 1545 – 1572 cz.3



Dukat 1565, Wilno, Kop, 3331 R6, Kurp, 904 R7, H-Cz, -, T,450, złoto



Czworak 1565, Wilno, Kop, 3310, Kurp, 851, Ivanauskas 10SA7-2, legenda L/LITV, duże cyfry w dacie



Trojak 1557, Gdańsk, Kop, 7368 R3, Iger G,57,2, Gum, 645



Trojak 1563, Wilno, Kop, 3306, Iger V,63,1,d, Ivanauskas 9SA47-8



Trojak 1564, Wilno, Kop, 3307, Iger V,64,1,b, Ivanauskas 9SA51-8



Grosz 1556, Gdańsk, Kop, 7361 R4, Kurp, 945 R3, Gum, 642, na awersie końcówka legendy PRVSSI,
litery NE w GEDANEN połączone



Grosz 1568, Tykocin, Ivanauskas 5SA49-14



Półgrosz 1546, Wilno, Kop, 3238 R3, Kurp,-, Ivanauskas 4SA22-7, zamiast liter A w legendzie odwrócone V



Półgrosz 1546, Wilno, Kop, 3237 R2, Kurp, 663, Ivanauskas 4SA19-6



Półgrosz 1547, Wilno, Kop, 3239, Kurp, 668, Ivanauskas 4SA34-12



Półgrosz 1548, Wilno, Kop, 3240, Kurp, 671, Gum, 598, Ivanauskas 4SA37-12



Półgrosz 1549, Wilno, Kop, 3241, Kurp, 672, Ivanauskas 4SA39-12 RR, rzadka odmiana legendy
L/LITVA



Półgrosz 1550, Wilno, Kop, 3242, Kurp, 676, Ivanauskas 4SA45-13

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.
www.pgnum.pl

Peretka
By godnie dożyć swoich dni...

FUNDACJA • JAMIKI • NICZYJE FUNDACJA • JAMIKI • NICZYJE FUNDACJA • JAMIKI •

Jacek Kuroń



Jacek Kuroń urodził się 3 marca 1934 roku we Lwowie jako pierwotne dziecko Wandy z domu Rudeńskiej i Henryka Kuronia. Niemal całą okupację przeżył w swoim rodzinnym mieście, dopiero wiosną 1944 roku zamieszkał na podkarpaciu. Po zakończeniu wojny rodzina Kuroniów przeniosła się najpierw do Krakowa, a potem do Warszawy. W 1947 roku Kuroniowie zajmują mieszkanie przy ul. Mickiewicza 27 na Żoliborzu. W 1949 roku piętnastoletni Jacek Kuroń, zafascynowany ideami komunistycznymi, wstępuje w szeregi Związku Młodzieży Polskiej i rozpoczyna swoją długoletnią działalność społeczno-polityczną.

Po egzaminie maturalnym, w 1952 roku zaczyna etatową pracę jako instruktor w Wydziale Harcerskim ZMP w Warszawie, a następnie jako pełnomocnik Zarządu Stołecznego ZMP na Żoliborzu. W tym samym roku zostaje członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W 1953 roku pełni funkcję przewodniczącego Zarządu Uczelnianego ZMP Politechniki Warszawskiej, wkrótce jednak za krytykę organizacji zostaje usunięty z ZMP i z partii. Jesienią 1953 roku rozpoczyna studia w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Warszawie. W 1955 roku zakłada Drużynę im. gen. Karola Świerczewskiego „Waltera” przy Organizacji Harcerskiej ZMP. Po rozwiązaniu PWSP przenosi się na

Uniwersytet Warszawski i kontynuuje studia historyczne. Zaczyna również uczestniczyć w spotkaniach Klubu Krzywego Koła.

Wiosną 1956 roku zostaje ponownie przyjęty w szeregi PZPR. We wrześniu 1956 roku współorganizuje Uniwersytet Robotniczy, zaś w październiku 1956 roku odpowiedzialny jest za organizację serii wieców robotniczych, które okazały się istotnym elementem przemian październikowych w Polsce. Zostaje członkiem Naczelnej Rady Harcerskiej, opracowuje założenia reformy systemu harcerskiego.

W 1957 roku kończy studia w Instytucie Historycznym UW i zostaje doktorantem na Wydziale Pedagogicznym UW. Po reaktywacji Związku Harcerstwa Polskiego rozpoczyna pracę w Kwaterze Głównej ZHP, a jednocześnie pełni funkcję komendanta Hufca Walterowskiego. W 1960 roku opracowuje reformę systemu drużyn harcerskich, kierując Działem Programowym Kwatery Głównej ZHP. Rok później zostaje odwołany z tej funkcji za krytykę ustroju politycznego PRL – Hufiec Walterowski ulega rozwiązaniu. W 1962 roku Kuroń zostaje członkiem działającego na uniwersytecie Politycznego Klubu Dyskusyjnego, którym kieruje Karol Modzelewski. To w tym środowisku – nawet po rozwiązaniu PKD – kontynuowane są spotkania seminaryjne, które doprowadzą do powstania dokumentu, stanowiącego krytyczną analizę działań aparatu partyjnego. Opracowanie to – przejęte przez Służbę Bezpieczeństwa – zostaje odtworzone przez Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego i upublicznione wiosną 1956 roku jako *List otwarty do partii*. W ramach represji Kuroń zostaje ponownie usunięty z PZPR oraz ZHP, aresztowany i oskarżony wraz z Karolem Modzelewskim o próbę obalenia ustroju PRL. Po procesie w dniach 13-16 lipca 1965 roku wyrokiem

Sądu Wojewódzkiego Jacek Kuroń zostaje skazany na trzy lata więzienia.

Wiosną 1967 roku warunkowo wychodzi na wolność i włącza się w działania kręgu tzw. komandosów, stając się szybko jego przywódcą. W tym samym roku kończy pracę doktorską pod kierunkiem prof. Bogdana Suchodolskiego. Publiczna obrona tezy doktorskiej nie odbywa się ze względów politycznych.

Jacek Kuroń zostaje kolejny raz aresztowany 8 marca 1968 roku po wiecu na Uniwersytecie Warszawskim i postawiony w stan oskarżenia. Po procesie tzw. „inicjatorów wydarzeń marcowych” skazano go na trzy i pół roku więzienia. Wychodzi na wolność jesienią 1971 roku. Uczestniczy niemal we wszystkich inicjatywach opozycyjnych tamtego okresu, jest m.in. sygnatariuszem *Listu 59*, autorem *Listu otwartego do Enrico Berlinguera* (sekretarza generalnego Włoskiej Partii Komunistycznej) oraz członkiem-założycielem Komitetu Obrony Robotników, który powstaje we wrześniu 1976 roku.

Wielokrotnie zatrzymywany przez Służbę Bezpieczeństwa i szykanowany. W styczniu 1978 roku podpisuje deklarację założycielską Towarzystwa Kursów Naukowych, redaguje kwartalnik „Krytyka”, jesienią tego samego roku bierze udział w głodówce protestacyjnej w kościele św. Marcina w Warszawie, współorganizuje Biuro Interwencyjne KSS „KOR”. Mieszkanie Jacka Kuronia staje się centrum działań opozycji demokratycznej w Polsce – to tam właśnie sphywają informacje o represjach w całym kraju, tam redagowany jest „Biuletyn Informacyjny” oraz „Komunikaty” KOR. Tam również, 21 marca 1979 roku, dochodzi do brutalnej interwencji bojówki komunistycznego aktywu partyjnego i studenckiego. Napadnięci i dotkliwie pobici zostają uczestnicy spotkania w

ramach TKN, w tym najbliżsi gospodarza domu.

W lipcu i sierpniu 1980 roku Jacek Kuroń organizuje sieć informacyjną o działaniach protestacyjnych w Polsce. Zostaje aresztowany 28 sierpnia 1980 roku. Po podpisaniu Porozumień Sierpniowych zwolniony z aresztu i powołany na stanowisko doradcy Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność”. Członek Krajowej Komisji Porozumiewawczej oraz Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Aktywnie uczestniczy w pracach Związku. Internowany w grudniu 1981 roku. Jesienią 1982 roku zostaje formalnie aresztowany i postawiony w stan oskarżenia za próbę obalenia siłą systemu politycznego PRL. Wychodzi na wolność w 1984 roku po przerwanych procesie, na mocy amnestii. Obejmuje funkcję doradcy Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność”. W grudniu 1988 roku uczestniczy w formowaniu Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie.

W 1989 roku bierze udział w obradach Okrągłego Stołu, pracując w zespole do

spraw reform politycznych. W wyborach czerwcowych kandyduje z listy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Zostaje posłem Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. 12 września 1989 roku powołany na stanowisko Ministra Pracy i Polityki Socjalnej w rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

W grudniu 1990 roku jest jednym z założycieli Unii Demokratycznej. W 1992 roku obejmuje tekę Ministra Pracy i Polityki Socjalnej w rządzie Hanny Suchockiej. W 1995 roku kandyduje na urząd Prezydenta RP. W 1998 roku zostaje odznaczony orderem Orła Białego.

Jacek Kuroń umiera 17 czerwca 2004 roku po długiej i ciężkiej chorobie.

Jacek Głazewski

Zdjęcie: Czarno - biała fotografia z demonstracji pierwszomajowej z udziałem opozycji i Jacka Kuronia, autor: Andrzej Iwański, [Wikipedia](#), CC BY-SA



Leksykon getta łódzkiego



Hasła opisujące najważniejsze zjawiska, wydarzenia i osoby getta łódzkiego znajdują się w leksykonie, który opracowuje Centrum Badań Żydowskich Uniwersytetu Łódzkiego.

To będzie swoisty deszyfrator informacji, które można znaleźć we wspomnieniach, dziennikach czy dokumentach z getta – mówi PAP dr Adam Sitarek z Wydziału Filozoficzno-Historycznego UŁ.

Na opracowanie „Leksykonu getta łódzkiego” łódzcy historycy otrzymali grant MNiSW w wysokości ponad 920 tys. zł w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki - moduł Dziedzictwo narodowe.

Dr Sitarek przyznał, że opracowanie leksykonu jest z jednej strony kontynuacją myśli, którą zaczęli archiwiści w getcie łódzkim. Już wtedy powstał bowiem zarys encyklopedii getta.

„Archiwiści w getcie łódzkim w 1944 r. rozpoczęli opisywanie rzeczywistości getta, różnych postaci, wydarzeń. Do końca jego istnienia – do sierpnia 1944 r. - zdążyli opracować niemal 400 haseł z 1400 jakie zaplanowali” - wyjaśnił historyk. W 2014 r. opublikowano jako

wydawnictwo źródłowe właśnie tę gettową encyklopedię - niemal 400 haseł.

Kontynuując inicjatywę archiwistów getta, łódzcy badacze postanowili dokończyć ich dzieło i napisać zaplanowanych 1400 haseł oraz rozszerzyć leksykon o te wydarzenia, zjawiska i osoby, które uznali za szczególnie istotne. Historyk podkreślił, że leksykon będzie zawierał przede wszystkim najważniejsze zjawiska, które występowały w getcie, a które pozwolą zrozumieć, czym była jego rzeczywistość.

Z jednej strony to zjawiska, które mogą być dla współczesnego czytelnika znane takie jak m.in. racje żywnościowe, talony, deportacje, ale z drugiej strony takie zjawiska czy osoby, które nic nie mówią np.: ciocia Marysia, wydzielaczka.

„Badając od kilku lat historię getta część z tych zjawisk jesteśmy w stanie doskonale opisać, co ułatwi zrozumienie odbiorcom, którzy czytają np. różne świadectwa, wspomnienia, dzienniki, dokumenty z getta. To będzie taki deszyfrator tych informacji, które innych źródłach się pojawiają” - podkreślił badacz.

W leksykonie znajdują się także hasła biograficzne dot. najważniejszych osób w historii getta: urzędników zarówno



Bundesarchiv, Bild 101111-Schiff-003-02
Foto: Schiff | 1940 ca.

polskich. Początkowo Niemcy zamknęli w nim 160 tys. osób. Później trafiło do niego wielu żydowskich intelektualistów z Czech, Niemiec, Austrii i Luksemburga oraz 5 tys. Romów z Austrii. Łącznie zamknięto w getcie łódzkim ok. 220 tys. osób.

niskiego, średniego jak i najwyższego szczebla oraz hasła opisujące wydarzenia takie jak: utworzenie i likwidacja getta, deportacje, wysiedlanie do getta czy Wielka Szpera.

„Leksykon getta łódzkiego” - zgodnie z harmonogramem projektu – ma powstać w ciągu 5 lat. Powstanie nie tylko trzynomowe wydawnictwo w polskiej i angielskiej wersji językowej, ale także otwarta platforma internetowa.

„Już po zakończeniu tego projektu finansowanego z ministerstwa nadal będziemy, już na własną rękę, uzupełniać ten leksykon, który ma być ogromną bazą danych, bazą wiedzy na temat getta łódzkiego” - podkreślił dr Adam Sitarek.

W momencie wybuchu II wojny światowej Żydzi stanowili ponad 30 proc. populacji Łodzi.

Getto w Litzmannstadt (nazwa Łodzi w okresie okupacji) Niemcy utworzyli w lutym 1940 r. Było ono drugim, co do wielkości w Polsce - po warszawskim - i najdłuższym istniejącym gettem na ziemiach

Przez niemal pięć lat z głodu i wyczerpania zmarło prawie 45 tys. osób. W styczniu 1942 r. rozpoczęły się masowe deportacje mieszkańców getta do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem, gdzie zamordowano w sumie 70 tys. osób. Najbardziej tragicznym momentem tych deportacji był okres Wielkiej Szpery - akcji wywożenia do obozu osób nieprzydatnych do pracy - dzieci poniżej 10 lat, osób starszych i chorych.

Całkowita likwidacja getta w Litzmannstadt nastąpiła w sierpniu 1944 roku - 29 sierpnia odszedł ostatni transport do obozu Auschwitz-Birkenau. Według różnych źródeł, ocalało z niego jedynie od 7 do 13 tys. osób.

PAP - Nauka w Polsce

szu/ ekt/

Serwis Nauka w Polsce -
www.naukawpolsce.pap.pl

Francja cz. 1

8x50 R Lebel



Producent: Atelier de Construction d'Alger (AR), dostawca mosiądzu: Cie generale d'electro-metallurgie, usine de Dives (D). Wyprodukowano w trzecim kwartale 1918 roku.



Producent: Atelier de Construction de Douai (ADI), dostawca mosiądzu: Atelier de laminage de l'E.C.P. de Bourges (BS). Wyprodukowano w trzecim kwartale 1907 roku.



Producent: Atelier de Construction de Douai (ADI), dostawca mosiądzu: Crozet-Fourneyron au Chambon-Feugerolles (CY). Wyprodukowano w drugim kwartale 1912 roku.



Producent: Atelier de Construction de Douai (ADI), dostawca mosiądzu: SA cuivre & Alliage a Ham (M). Wyprodukowano w pierwszym kwartale 1908 roku.



Producent: Atelier de Construction de Puteaux (APX), dostawca mosiądzu: Atelier de laminage de l'E.C.P. de Bourges (BS). Wyprodukowano w drugim kwartale 1915 roku.



Producent: Atelier de construction de Puteaux (APX), dostawca mosiądzu: Cie generale d'electro-metallurgie, usine de Dives (D). Wyprodukowano w drugim kwartale 1905 roku.



Producent: Atelier de Construction de Rennes (A.R.S), dostawca mosiądzu: Atelier de laminage de l'E.C.P. de Bourges (BS). Wyprodukowano w drugim kwartale 1930 roku.



Producent: Atelier de Construction de Rennes (A.RS), dostawca mosiądzu: SA cuivre & Alliage a Ham (M). Wyprodukowano w pierwszym kwartale 1916 roku.



Producent: Atelier de Construction de Rennes (A.RS), dostawca mosiądzu: Societe des trefileries et laminoirs du Havre, usine de Rugles (R). Wyprodukowano w czwartym kwartale 1928 roku.



Producent: Atelier de Fabrication de Toulouse (ATE), dostawca miedzi: Cie francaise des metaux, usine de Castelsarrasin (C). Wyprodukowano w trzecim kwartale 1912 roku.



Producent: Atelier de Fabrication de Toulouse (ATE), dostawca miedzi: Societe des trefileries et laminoirs du Havre, usine de Rugles (R). Wyprodukowano w trzecim kwartale 1914 roku.



Producent: Atelier de Fabrication de Toulouse (ATE), dostawca miedzi: Societe industrielle et commerciale des metaux lub Cie francaise des metaux, usine de Serfontaine (S). Wyprodukowano w czwartym kwartale 1913 roku.



 WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU
DĄBROWA GÓRNICZA • CIESZYN • OLKUSZ • ŻYWIEC • KRAKÓW

Zjazd gnieźnieński



Z prof. **Romanem Michałowskim**
rozmawia Ewa Zientara

Skąd czerpiemy wiadomości na temat zjazdu gnieźnieńskiego?

Są dwa główne źródła. Jednym jest kronika Thietmara, który pisał w kilkanaście lat po zjeździe gnieźnieńskim. Drugie źródło stanowi relacja Galla Anonima, kronikarza piszącego na zamówienie polskiego dworu. Wprawdzie działał on ponad sto lat po zjeździe gnieźnieńskim, ale opisując to wydarzenie korzystał z utworu

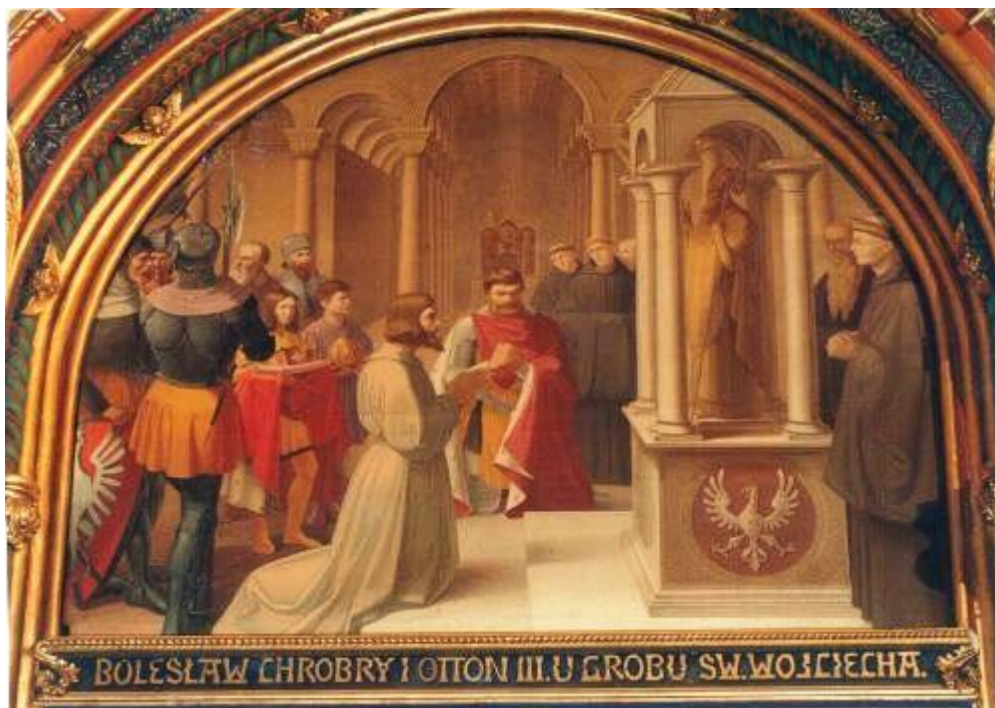
wcześniejszego, który z pewnością powstał za panowania Bolesława Chrobrego, czyli w pierwszej ćwierci XI wieku. Niekiedy wykorzystuje się jeszcze inne źródła, ale te, o których wspominałem, są najważniejsze.

Z jakiego powodu w roku tysięcznym Otton III przybył do Polski?

Bezpośrednim powodem było złożenie hołdu św. Wojciechowi, którego męczeńska śmierć wywarła na Ottonie III wielkie wrażenie. Cesarz zrozumiał, że to

męczeństwo jest przejawem łaski dla jego czasów, dla jego panowania. Pod wpływem tego przeżycia religijnego pogłębił swoje koncepcje polityczne. Od tego czasu jeszcze większą rolę odgrywały w nich względy religijne, a wśród nich bardzo ważna była idea misji wśród pogan. Tutaj Otton III nawiązywał do tradycji cesarstwa późnoantycznego i karolińskiego, a także bliższej, mianowicie swojego dziada Ottona I. Podróż do Gniezna i uczestnictwo w tej najważniejszej uroczystości, jaką było złożenie ciała św. Wojciecha w ołtarzu, było symbolicznym zwieńczeniem koncepcji politycznych Ottona III. Św. Wojciech jawi się jako patron jego przedsięwzięcia polityczno-religijnego.

Misja wśród pogan musiała mieć podstawę instytucjonalną. Dlatego też Otto III wyraził zgodę na założenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i powstanie polskiej metropolii, tak jak nieco później wyraził zgodę na powstanie metropolii i arcybiskupstwa węgierskiego w Ostrzyhomiu. Warto powiedzieć, że akt religijny - hołd złożony św. Wojciechowi i udział w uroczystościach, dzięki którym Otto III miał nadzieję pozyskać błogosławieństwo św. Wojciecha - oraz budowa nowych struktur kościelnych wiążą się ze sobą jak najściślej. Wiemy, że w czasie obecności Ottona III w Gnieźnie na jego polecenie nowo wyświęconym arcybiskupem gnieźnieńskim został brat św. Wojciecha, Radzim Gaudenty. Pod jego władzę poddano trzech polskich biskupów: kołobrzeszkiego, wrocławskiego i krakowskiego.



Co oznaczało przekazanie Bolesławowi Chrobremu diademu cesarskiego i włóczni Świętego Maurycego?

Jeżeli chodzi o ofiarowanie włóczni św. Maurycego, sprawa jest łatwiejsza, ale najpierw trzeba powiedzieć, czym była owa włócznia, która zresztą istnieje do tej pory i jest przechowywana w Wiedniu. W X wieku była najważniejszym insygnium władzy królów ottońskich. Otaczała ją legenda. Początkowo uchodziła za włócznię Konstantyna Wielkiego, ale od pewnego momentu - za włócznię św. Maurycego, męczennika z III wieku, żołnierza rzymskiego, dowódcę legionu tebańskiego. Była to relikwia niezwykle również z tego powodu, że ostrze tej włóczni wypruto i wmontowano dwa gwoździe, które miały pochodzić z Krzyża Świętego. Dysponujemy opisami z epoki, z X wieku, które dowodzą, że król niemiecki zwyciężał na polu bitwy dzięki owej mocy, która znajdowała się w gwoździach. Tak wierzono.

Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że - co jest dość trudne do zrozumienia dla współczesnych chrześcijan - w tamtych czasach zwycięstwo króla na polu bitwy było uważane za uobecnienie zwycięstwa

Chrystusa na Golgocie. Dlatego też relikwie Męki Pańskiej, czyli wszystkie te przedmioty, które służyły do ukrzyżowania Chrystusa, uchodziły za wielkie relikwie, szczególnie w sferze państwowej. W Bizancjum, a także w innych krajach, wielką czcią otaczano drzewo Krzyża. Tak więc włócznia św. Maurycego w sposób bardzo wyraźny była relikwią państwową, zapewniająca cesarzowi zwycięstwo. To było insygnium władzy, choć mamy tu do czynienia nie z drzewem Krzyża, ale z gwoździami, które w ten Krzyż były wbite. Królem niemieckim zostawało się wówczas, kiedy otrzymało się tę włócznię.

Bolesław Chrobry nie otrzymał samej włóczni św. Maurycego, tylko jej kopię, która także przetrwała do naszych czasów i obecnie znajduje się w katedrze wawelskiej. Także wypruto z niej ostrze, a jego środek wygląda tak, jakby były tam zamontowane gwoździe. Tego normalnie się nie robiło, ponieważ wyprucie w środku ostrza osłabiało siłę włóczni. Kopia również była relikwią, choćby dlatego, że zawierała jakieś okruchy oryginału, może nawet okruchy owych gwoździ. Innymi słowy, można powiedzieć, że Bolesław Chrobry otrzymał insygnium władzy, które było kopią najważniejszego insygnium władzy króla niemieckiego. Od tej pory pełnił urząd w łączności z cesarzem. Jaki to urząd? Otóż z tekstu Galla Anonima dowiadujemy się, że właśnie w Gnieźnie Bolesław Chrobry został bratem i współpracownikiem cesarstwa. Jest to urząd skądinąd zupełnie nieznany. Teraz już wiemy, że Otto III stworzył go na potrzeby zjazdu gnieźnieńskiego, czy też na potrzeby sojuszu z Bolesławem Chrobrym. Tworząc ten urząd, Otto III wzorował się na jednym z listów św. Pawła, który mówi w nim o swoim bracie i współpracowniku, pomagającym mu chrystianizować pogan.

Mamy tutaj do czynienia z jeszcze jedną dość niespotykaną rzeczą. Mianowicie Otto III jadąc z pielgrzymką do Polski

używał tytułu "sługa Jezusa Chrystusa" - terminu dziwaczego jak na tytuł cesarza. Wiemy jednak, skąd się ten tytuł wziął. Tak w swoich listach tytułowali się apostołowie, w szczególności św. Paweł, który mówił o sobie, że jest sługą Jezusa Chrystusa, a ten jego współpracownik o imieniu Epahodyd jest nazwany bratem i współpracownikiem. Mamy tu więc do czynienia z sytuacją niezwykłą: Otto III pełni funkcję apostoła, a Bolesław Chrobry staje się jego współpracownikiem. Włócznia jest więc insygnium współpracownika apostoła. To się wszystko doskonale łączy z osobą św. Wojciecha jako patrona misji i z utworzeniem arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, które miało zadanie misyjne.

Dużo trudniej jest nam powiedzieć, jaki sens miało nałożenie na skronie Bolesława Chrobrego cesarskiego diademu. Gall Anonim traktuje to jako koronację królewską, ale z różnych powodów nie powinniśmy w to specjalnie wierzyć, również dlatego, że w późniejszych źródłach Bolesław Chrobry jest nazywany księciem, a nie królem. Z innych źródeł wiemy, że Bolesław Chrobry koronował się dopiero w 1025 roku. Cóż zatem oznaczałoby nałożenie diademu? Przypuszczenia są różne. Są oczywiście tacy historycy, również obecnie, którzy sądzą, że była to po prostu koronacja na króla. Inni uważają, że był to gest związania stosunku braterstwa i współpracy z cesarstwem. Według jeszcze innych był to gest pozwalający na koronację. Nałożenie diademu na głowę Bolesława Chrobrego jest najtrudniejszym problemem z całego kompleksu zagadnień związanych ze zjazdem gnieźnieńskim.

Jakie były skutki zjazdu gnieźnieńskiego?

Przed wszystkim bardzo wysoko w swojej godności został podniesiony Bolesław Chrobry. Wspomniany kronikarz Thietmar, który bardzo dobrze znał się na

problematyce polskiej i jednocześnie bardzo nie lubił Chrobrego, wyraża ubolewanie z tego powodu, że Otto III Bolesława z trybutariusza uczynił panem. Do tej pory Bolesław Chrobry płacił trybut królowi niemieckiemu, a od momentu zjazdu gnieźnieńskiego został z niego zwolniony. To się bardzo wielu nie podobało.

Poza tym trzeba podkreślić wielkie znaczenie zjazdu gnieźnieńskiego dla rozwoju Kościoła w Polsce. W czasach średniowiecznych było to równoznaczne z rozwojem Polski, ze względu na olbrzymią rolę, jaką Kościół odgrywał w tamtym społeczeństwie. Polska otrzymała własną organizację kościelną, podległą bezpośrednio Stolicy Apostolskiej. Warto sobie uświadomić, że nie było o to łatwo - na przykład Czesi własne arcybiskupstwo uzyskali dopiero w wieku XIV, choć Praga została biskupstwem w latach siedemdziesiątych X wieku. Natomiast jeśli chodzi o stosunki polityczne, Otto III wyznaczył Bolesławowi Chrobremu pewną rolę w cesarstwie, co jest zawarte w tym terminie "współpracownik cesarstwa". W związku z tą funkcją miał on obowiązki religijne i polityczno-wojskowe, co wiązało się wzajemnie ze sobą jak najściślej. Z jednej strony obowiązki władcy polskiego polegały na szerzeniu chrześcijaństwa w tej części Europy - wokół było jeszcze sporo pogan - a z drugiej strony miał on bronić północno-wschodniej flanki cesarstwa pod względem politycznym i wojskowym.

Ta koncepcja legła w gruzach wraz ze śmiercią Ottona III. Jego następca Henryk II z powodów, które nie całkiem są dla nas jasne, prowadził w stosunku do Polski inną politykę. O ile Bolesław Chrobry bardzo ściśle współpracował z cesarzem - jak zresztą jego ojciec, Mieszko I, przez dużą część swojego panowania - o tyle teraz sytuacja się zmienia i dochodzi do wojny, która trwa niemal nieustannie przez lat kilkanaście. Powstaje pytanie, czy ta

gnieźnieńska koncepcja polityczna trwała nadal. Wydaje się, że Bolesław Chrobry był do niej przywiązany w tym sensie, że nie odcinał się od cesarstwa. Chciał być jego współpracownikiem, ale pod warunkiem, że w cesarstwie zajmie bardzo wysokie miejsce. Tego Henryk II nie chciał mu przyznać, przynajmniej przez pierwszych kilkanaście lat. Warto zwrócić uwagę na to, że syn Bolesława Chrobrego, Mieszko II, ożenił się Rychezą, wnuczką Ottona II. Z tego małżeństwa w 1016 roku, a więc jeszcze za życia Bolesława Chrobrego, zrodził się Kazimierz, którego nazywamy Odnowicielem. Wiemy, że Kazimierz na drugie imię nosił Karol. Wówczas było to imię niespotykane, nosili je właściwie tylko Karolingowie. Dlaczego nadano je księciu z rodu Piastów? Możemy się tylko domyślać, że Bolesław Chrobry wyznaczał swojemu wnukowi jakąś rolę w odnowieniu cesarstwa rzymskiego.

Czy słynna miniatura przedstawiająca kobiety-provincje kłaniające się i składające dary przed Ottonem wskazuje na gnieźnieńską koncepcję polityczną cesarza?

Miniatura ta, a ściślej rzecz biorąc - dwie podobne do siebie miniatury wyrażają myśl, że cesarz Otto III panuje nad wielością narodów, czy też wielością królestw. Czym się różni cesarz od króla? Przede wszystkim tym, że o ile król rządzi jednym królestwem, jednym narodem, o tyle cesarz panuje nad wielością królestw i wielością narodów. W historii Polski chętnie wykorzystuje się wspomniane miniatury dlatego, że jedna z tych niewiast nazywa się - w zależności od kodeksu - Sclavinia czy Sclavania. Wśród owych ludów czczących cesarza pojawia się więc również Słowiańszczyzna. Okazuje się zatem, że stała się ona wówczas równouprawnionym narodem, na równi z innymi służącym cesarzowi. Niewiele więcej można z tego wywnioskować. Bardzo trudno jest tę miniaturę

wykorzystać do koncepcji gnieźnieńskich, skoro przecież nie Bolesław Chrobry jest tam władcą Sclavinii, lecz Otto III. Ale oczywiście jest tu jakieś podobieństwo do wizji gnieźnieńskiej - w tym sensie, że skoro Słowiańszczyzna jest już moralnym podmiotem, to słowiańskiego władcę można uznać za współpracownika cesarstwa.

Czy opisy bogactw na dworze Bolesława Chrobrego, które przedstawia Gall Anonim, są wiarygodne?

Oczywiście, gdy czytamy Galla, zawsze powstaje pytanie, ile on przejął z podstawy jedenastowiecznej, a ile dodał od siebie, co zniekształcił itd. Ale z kroniki Thietmara, autora bardzo niezycznego Bolesławowi Chrobremu, wiemy, że Bolesław Chrobry przyjął Ottona III w sposób niezwykle. Jeżeli nawet nie wszystko było tam dokładnie tak, jak Gall nam opisuje, to coś w tym musiało jednak być.

Prof. dr hab. **Roman Michałowski** - historyk, zajmuje się historią średniowiecza, interesują go zagadnienia związane z wpływem religii i systemu wartości na struktury społeczne i życie polityczne. Jest przewodniczącym Rady Naukowej Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, kieruje Zakładem Historii Średniowiecznej w IH UW, wchodzi w skład Komitetu Redakcyjnego "Kwartalnika Historycznego". Opublikował m.in.: *Zjazd gnieźnieński. Religijne przesłanki powstania arcybiskupstwa gnieźnieńskiego.*

Ilustracja: Otton III na miniaturze z jedenastowiecznego ewangeliarza z Bawarii. Wikimedia Commons, domena publiczna.



Polskie ultimatum wobec Litwy



Granice odrodzonej Rzeczypospolitej ostatecznie uformowały się w 1923 roku i były efektem wielu walk oraz zabiegów dyplomatycznych. Państwo polskie

sąsiedowało od zachodu i północy z Niemcami, dążącymi do rewizji traktatu wersalskiego, od wschodu natomiast z ZSRR – krajem pragnącym wybuchu

światowej rewolucji i zagarnięcia polskich Kresów Wschodnich. Niekorzystnie na arenie międzynarodowej układały się także stosunki z innymi państwami regionu. Z Czechosłowacją Polska toczyła spór o Zaolzie, z Litwą z kolei o teren Wileńszczyzny.

W marcu 1938 roku szczególnie zaostrzył się ten ostatni konflikt, co było skutkiem incydentu zbrojnego na polsko-litewskiej granicy. W jego wyniku zginął polski żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza Stanisław Serafin, a samo wydarzenie stało się pretekstem dla rządu polskiego do postawienia władzom Litwy ultimatum.

17 marca 1938 roku Litwini otrzymali od strony polskiej żądanie natychmiastowej normalizacji stosunków dyplomatycznych bez żadnych warunków wstępnych. Powszechne ożywienie zapanowało wówczas zarówno wśród żołnierzy polskiej armii, jak i ludności cywilnej. Marszałek Edward Rydz-Śmigły przybył do Wilna, zaś w kraju odbywały się masowe manifestacje poparcia dla polityki rządu. Najczęstszym hasłem wykrzykiwanym przez zebranych było słynne już dzisiaj: *Wodzu, prowadź nas na Kowno!*

Polskie ultimatum zostało oprotestowane przez ZSRR. Nieprzychylnym okiem patrzyła na nie również Francja, a inne państwa zachodnie krytkowały agresywny sposób prowadzenia polityki zagranicznej przez Józefa Becka. Warto zauważyć, że kryzys w stosunkach polsko-litewskich miał miejsce niemal w tym samym czasie, co *Anschluss* Austrii dokonany przez III Rzeszę. Stąd w Europie oba te wydarzenia traktowano łącznie i postrzegano je w kategoriach zagrożenia dla stworzonego po I wojnie światowej ładu.

19 marca 1938 roku rząd Litwy przyjął żądania wysuwane przez II Rzeczpospolitą, jednak w dalszym ciągu kwestionował polskie prawa do Wilna. Do ocieplenia stosunków dyplomatycznych na linii Warszawa–Kowno miało dojść dopiero na wiosnę kolejnego roku, kiedy to Niemcy zmusiły Litwę do przekazania im okręgu Kłajpedy.

Paweł Cichocki

Mapa: *Polska, gęstość zaludnienia, 1930*, [Wikipedia](#), Domena Publiczna.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

Powstanie Związku Pruskiego



W XV wieku państwo zakonu krzyżackiego zaczęło przeżywać kryzys. Towarzyszył mu wzrost aspiracji bogatego mieszczaństwa i szlachty, które chciały ograniczenia krępujących je przepisów wydawanych przez Zakon. Dotyczyły one w dużej mierze sfery gospodarczej. Aby wspierać swe interesy i przeciwdziałać nadużyciom zakonników, bogata ludność postanowiła zawiązać konfederację. 14 marca 1440 r. odbył się w Kwidzynie zjazd, na którym powołano Związek Pruski. Główną rolę w powołaniu tej organizacji odegrały mieszczaństwo Torunia i Chełmna oraz szlachta chełmińska.

Sytuacja dla powstania Związku była dogodna, gdyż trwał w tym czasie konflikt w Zakonie Krzyżackim. Zakon nie tolerował nowo powołanej organizacji, ponieważ zagrażała jego władzy, którą nie chciał się dzielić z poddanymi. Zwieńczeniem konfliktu był proces, który odbył się przed cesarzem Fryderykiem III. Wyrok ogłoszony pod koniec 1453 r. nakazywał rozwiązanie Związku. W tej sytuacji Związek wypowiedział posłuszeństwo Zakonowi. Pruscy

mieszczanie i szlachta oddali się pod opiekę króla polskiego, a Kazimierz Jagiellończyk podjął decyzję o inkorporacji Prus. Wybuchła wojna trzynastoletnia.

BW

Rozmowa z prof. **Andrzejem Radziwińskim**

Jakie były okoliczności powstania Związku Pruskiego?

Związek Pruski został utworzony 14 marca 1440 roku na zjeździe stanów pruskich w Kwidzynie przez mieszczaństwo wielkich miast pruskich, w tym zwłaszcza Torunia i Chełmna, oraz rycerstwo ziem pruskich. Opozycja stanowa w państwie Zakonu Krzyżackiego w Prusach wobec Zakonu jako władcy terytorialnego pokazała swoją znaczącą siłę po zawarciu przez Zakon traktatu brzeskiego z Polską w 1435 roku. Zakon Krzyżacki pełnił bowiem rolę władcy na wzór książąt czy królów w niektórych krajach, także w stosunku do rycerstwa i mieszczaństwa bogatych miast pruskich. Sytuacja społeczno-polityczna w Prusach w pierwszej połowie XV wieku spowodowała, iż właśnie te grupy społeczne postanowiły wymóc na Zakonie pewne rozwiązania o charakterze ekonomicznym i politycznym, które dawałyby im lepsze możliwości rozwoju czy funkcjonowania w relacji z krzyżakami.

Czy to oznacza, że początkowo Związek Pruski nie został utworzony w opozycji do Zakonu Krzyżackiego, a jego pierwotnym celem nie było zrzucenie krzyżackiego jarzma?

Członkowie Związku Pruskiego występowali początkowo przede wszystkim o uzyskanie szeregu praw i przywilejów, w tym politycznych, sądowych czy ekonomicznych, nie zaś przeciw panowaniu potężnego Zakonu na ziemiach pruskich. Kiedy jednak przedstawicielom stanów pruskich nie

udało się spełnić swych postulatów, a ponadto cesarz Fryderyk III, nie wysłuchawszy do końca skarg związkowców, wydał 5 września 1453 r. wyrok potępiający Związek Pruski i skazujący go na rozwiązanie - przystąpiono do przygotowywania zbrojnej akcji przeciwko Zakonowi. Wówczas też Tajna Rada Związku, rezydująca w Toruniu, nawiązała intensywne kontakty z wpływowymi politykami polskimi, przygotowując poddanie Prus polskiemu królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi. Szlachta i mieszczaństwo uznali bowiem, że należy znaleźć nowego zwierzchnika, a tym samym nowego władcę terytorialnego. Jednak akt poddania się stanów pruskich polskiemu królowi był dla członków Związku Pruskiego rozwiązaniem ostatecznym, podobnie jak wybuch wojny trzynastoletniej.

Jakie były bezpośrednie przyczyny wybuchu wojny?

Przede wszystkim 4 lutego 1454 r. związkowcy wysłali do Malborka formalny akt wypowiedzenia posłuszeństwa wielkiemu mistrzowi, zaś dwa dni później nastąpił jednoczesny atak na zamki krzyżackie, słabo przygotowane do obrony. Wreszcie 6 marca 1454 r. poselstwo Związku Pruskiego wystawiło akt stwierdzający, że całe Prusy poddają się królowi polskiemu jako prawowitemu dziedzicowi oderwanych dawniej od Korony Polskiej ziem pomorskich. W wydanym tego samego dnia przywileju inkorporacyjnym Kazimierz Jagiellończyk stwierdzał przejęcie pod swoją władzę całości ziem pruskich i wcielenie ich do Królestwa Polskiego. Akt ten faktycznie likwidował państwo Zakonu Krzyżackiego w Prusach. Był to więc klasyczny *casus belli*, który rzeczywiście rozpoczął wojnę

trzynastoletnią.

Czemu więc Związek Pruski zwrócił się do króla polskiego o przejęcie przez niego zwierzchnictwa i władzy?

Pamiętając o chronologii wydarzeń przypomnijmy, że od powstania Związku Pruskiego do wydania aktu inkorporacji Prus do Polski oraz do wojny trzynastoletniej minęło czternaście lat. W tym czasie trwały różnego rodzaju dyskusje i konflikty między opozycją stanową a Zakonem Krzyżackim. Ostatecznie Związek Pruski, po przegranym sporze na cesarskim dworze Fryderyka III, podjął jednak ryzyko przyjęcia zwierzchnictwa Kazimierza Jagiellończyka. Jednym z poważnych argumentów za takim rozwiązaniem - o czym wspominał Jan Bażyński, stojący na czele delegacji związkowej - było powołanie się na dawną przynależność do Polski Pomorza Gdańskiego i ziemi chełmińskiej.

Prof. Andrzej Radziwiński - mediewista, pracownik Instytutu Historii i Archiwistyki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, od 2002 r. prorektor, a w latach 2008-2012 rektor UMK, kierownik Zakładu Historii Krajów Bałtyckich na UMK; zajmuje się historią Kościoła w średniowieczu, autor m.in.: *Życie i obyczajowość średniowiecznego duchowieństwa* (2002); *Biskupstwa państwa krzyżackiego w Prusach XIII-XV w. Z dziejów organizacji kościelnej i duchowieństwa* (1999).

K. G.

Fotografia: akt erekcyjny Związku Pruskiego z 1440 r., Wikimedia Commons, domena publiczna.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.



Projekt „Romana šperenca - pamieć oraz wspólczesność europejskich Romów



W związku z 75. rocznicą deportacji pierwszych transportów romskich do KL Auschwitz Międzynarodowe Centrum Edukacji o Auschwitz i Holokauście zainaugurowało nowy projekt edukacyjny „Romana šperenca – pamieć oraz wspólczesność europejskich Romów”.

Jest on adresowany jest do młodzieży, która zwiedzała juź teren byłego obozu Auschwitz i jest zainteresowana pogłębieniem swojej wiedzy na temat zarówno historii oraz kultury romskiej jak i

prześladowania i zagłady Romów w czasie II wojny światowej.

– Spotkanie miało na celu pokazanie nauczycielom, w jaki sposób chcemy pracować z młodzieżą i na jakie elementy chcemy zwrócić ich uwagę. Projekt ma przybliżyć młodzieży to, kim są Romowie, skąd wzięli się w Europie, jakie były ich losy do czasów współczesnych ze szczególnym uwzględnieniem okresu prześladowania i eksterminacji w czasie II wojny światowej. Ważne jest też dla nas pokazanie ich sytuacji współcześnie –

powiedziała Anna Stańczyk, koordynator projektu z ramienia MCEAH.



Spotkanie rozpoczęło się od wprowadzenia do historii i kultury Romów. Tematykę tą przybliżyła dr Joanna Talewicz-Kwiatkowska, która oprowadziła uczestników po wystawie stałej w Stowarzyszenia Romów w Polsce. Następnie grupa zwiedziła Miejsce Pamięci specjalnie opracowaną trasą po byłym obozie Auschwitz II-Birkenau pod kątem prześladowania i zagłady Romów. Na zakończenie odbyły się warsztaty podsumowujące na wystawie romskiej w bloku 13 na terenie byłego obozu Auschwitz I.

Ważnym elementem projektu było upamiętnienie 75. rocznicy deportacji pierwszego masowego transportu Romów do niemieckiego obozu Auschwitz było zapalenie zniczy przed pomnikiem poświęconym romskim ofiarom na terenie byłego obozu KL Auschwitz II-Birkenau.

Szacuje się, że w obozie Auschwitz Niemcy uwięzili łącznie ok. 23 tys. Romów – mężczyzn, kobiet i dzieci. W obozie zmarło lub zostało zamordowanych ok. 20 tys. Na terenie Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, w bloku 13, znajduje się wystawa upamiętniająca zagładę Romów i ukazującą szczególny wymiar nazistowskiego ludobójstwa popełnionego na Romach w okupowanej przez nazistów w Europie. Od 2011 r. 2

sierpnia jest w Polsce oficjalnym Dniem Pamięci o Zagładzie Romów i Sinti.

Historię Romskich ofiar obozu przybliżyła [lekcja internetowa „Romowie w Auschwitz”](#), a także [7. tom serii edukacyjnej Głosy Pamięci](#). Na stronach Google Cultural Institute dostępna jest również przygotowana przez Muzeum [wystawa „Romowie w Auschwitz”](#).



Gdy jechaliśmy do Auschwitz, nasz pociąg zatrzymał się nagle z jakiegoś powodu. Z naprzeciwka nadjechał inny pociąg, który zatrzymał się obok nas. Mogliśmy spojrzeć maszyniście prosto w twarz i wówczas mój kuzyn zapytał go: „Niech nam Pan powie, gdzie to jest, co to takiego ten Auschwitz?” Nie zapomnę nigdy spojrzenia maszynisty. Wlepił w nas wzrok i nie powiedział ani słowa. Był on jednym z tych, którzy przewozili te okropne transporty. Nie mógł nic powiedzieć, przeszył nas tylko wzrokiem. Dopiero będąc w Auschwitz pojęłam, dlaczego ów mężczyzna pozostawił nas bez odpowiedzi. Był on jak skamieniały.

(Fragment relacji Elisabeth Guttenberger, Romki, deportowanej do KL Auschwitz z Niemiec w marcu 1943 w wieku 17 lat)

Materiały prasowe Muzeum Auschwitz

Stalinogród

Stalinogrodzki Komitet Wojewódzki 11
Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej
Tel. 349-60 do 67

Wydział I Sekretariat
dz. 3040/55/PK

STALINOGRÓD, dnia 22 marca 1955 r.
pl. F. Dzierżyńskiego 1

KANCELARIA SEKRETARIATU
Nr. 855/55
Wpłynęło dn. 24-III-55
Wysłano dn. 22. Sekret.

Do
Sekretariatu KC PZPR

W a r s z a w a
=====

na ręce Sekr. KC tow. Fr. Mazura

*Sekretariat
zimmie i walicy wyproie
22/III*

Stalinogrodzki Komitet Wojewódzki PZPR zwraca się do Sekretariatu KC z prośbą o zaproszenie na tegoroczne uroczystości 1-majowe w Stalinogrodzie przedstawicieli Obwodowego Komitetu K.P.Z.R. w Stalino / Donbass/.

Dwa dni po śmierci Józefa Stalina Rada Państwa i Rada Ministrów postanowiły uczcić zmarłego przywódcę Związku Radzieckiego i przemianować Katowice na Stalinogród, a województwo katowickie na stalinogrodzkie. Przyczyny wyboru akurat tego miasta nie są znane. Wydaje się, że w dużej mierze zdecydował jego przemysłowy charakter. Zmiana nazwy była wyrazem niemal religijnego kultu, jakim otaczano "Wielkiego Wodza" i "Nauczyciela mas pracujących". Katowice nie były zresztą jedynym miastem, które

zostało przemianowane dla uczczenia przywódcy ZSRR. W maju 1953 r. niemieckie Eisenhüttenstadt przemianowano na Stalinstadt.

Śmierć Stalina była początkiem ogromnych zmian w całym bloku wschodnim. Mijały czasy bezwzględного terroru, który w Polsce stosowano wobec żołnierzy AK, członków antykomunistycznego podziemia oraz wszystkich, którzy mieli inną wizję kraju od wówczas obowiązującej. Rozliczenie ze

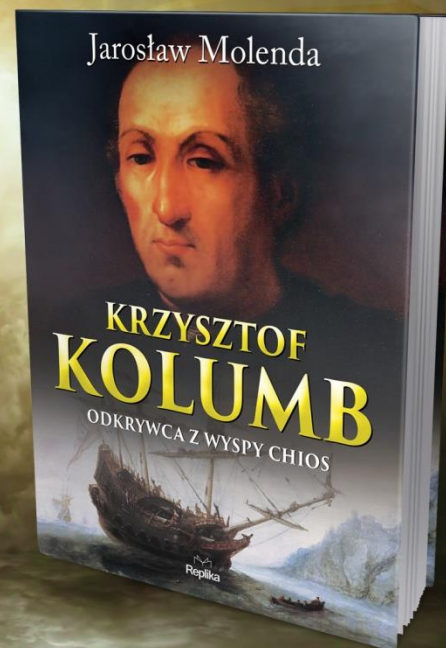
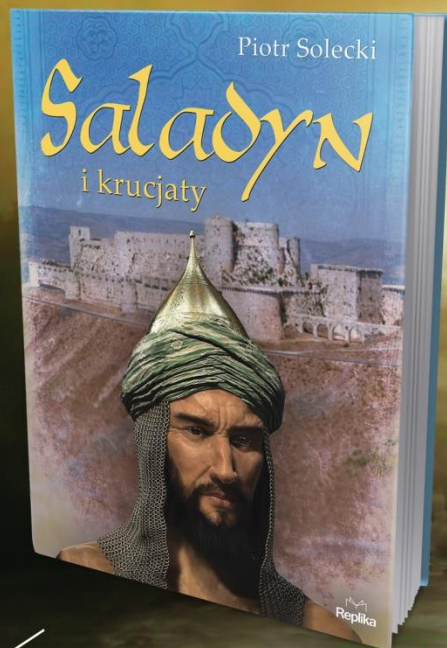
stalinowską przeszłością zapoczątkował wygłoszony przez Nikitę Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR referat *O kulcie jednostki i jego następstwach*, w którym Stalin został oskarżony o "wypaczenia" komunizmu. Zmiana sytuacji politycznej spowodowała przywrócenie śląskiemu miastu jego pierwotnej nazwy 21 października 1956 r.

BW

Ilustracja: wniosek Stalinozrodzkiego Komitetu Wojewódzkiego w.s. uroczystości 1-majowych w Stalinozrodzie, [Polona](#), CC-BY-NC.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

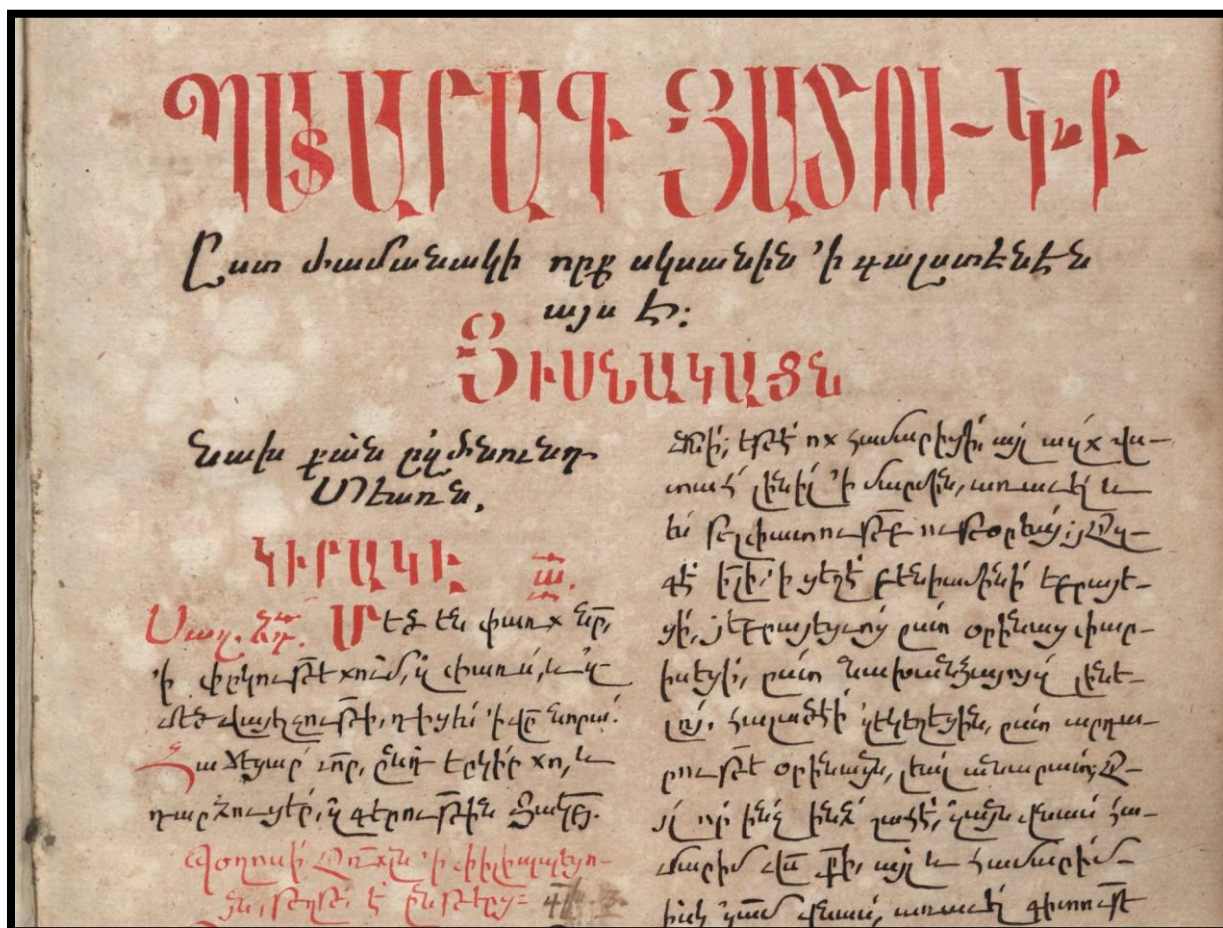
LUDZIE, KTÓRZY ZMIENILI OBRAZ ŚWIATA



Tel. 61 868 25 37, handlowy@replika.eu



Statut ormiański



Ormianie byli jednym z wielu narodów, które w epoce nowożytnej zamieszkiwały ziemie Rzeczypospolitej. Przybywali oni na Ruś Kijowską już od końca XIII w., początkowo pod naporem Turków seldżuckich, a potem w następstwie upadku kolonii genueńskich na Krymie na początku wieku XIV. Największe skupiska ormiańskie znajdowały się w dużych miastach na Wschodzie, takich jak Lwów, Kamieniec Podolski, Łuck, Stanisławów czy Jazłowiec. Po raz pierwszy ludność ta została objęta przywilejem sądenia

według własnego prawa (*suo nationis iure*) przez Kazimierza Wielkiego w dokumencie lokacyjnym Lwowa z 1356 r. Później postanowienie to było zatwierdzone i modyfikowane - przez regentkę Elżbietę Łokietkównę w 1379 r., Ludwika Węgierskiego w 1380 r., Jadwigę w 1387 r., Władysława Jagiełłę w 1415 r., Kazimierza Jagiellończyka w 1461 r.

W końcu na sejmie piotrkowskim 5 III 1519 r. przyjęto tzw. Statut Ormian lwowskich, czyli dokument regulujący

prawa, według których funkcjonowała społeczność ormiańska nie tylko na terenie Lwowa, ale i w pozostałych ośrodkach. Statut został następnie zatwierdzony przez króla Zygmunta I Starego. Najważniejszymi zagadnieniami w nim poruszonymi były sprawy sądownictwa i samorządu, których odrębność była dotychczas wielokrotnie przyczyną sporów z władzami miejskimi Lwowa. Zwyczajowe prawo ormiańskie, oparte na kodyfikacji Melchitara Gosza z końca XII w. (tzw. *Datastanagirk*), zostało w 1519 rozszerzone o ustawodawstwo polskie. Ormianie mieli prawo zakładać własne samorządne gminy z kościołem i niezależnym szkolnictwem. Statut obowiązywał aż do 1781 r., kiedy to

zniesiono odrębność prawną Ormian. Do tego czasu społeczności tej przyznawano kolejne przywileje (Jana Kazimierza, Władysława IV, Michała Korybuta Wiśniowieckiego, Jana III Sobieskiego i Augusta II Mocnego).

M. G.-K.

Ilustracja: pierwsza strona Mszału Ormiańskiego z 1734 r., [Polona](#), CC-BY-NC.

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.



Rozstrzelanie członków WiN



1 marca 1951 r. w więzieniu na warszawskim Mokotowie, po pokazowym procesie, zostało rozstrzelanych siedmiu członków niepodległościowego IV Zarządu Głównego Zrzeszenia "Wolność i Niezawisłość". Dzień ten obchodzony jest jako dzień "Żołnierzy wyklętych".

Egzekucja rozpoczęła się o godz. 20. Skazani byli kolejno podprowadzani na miejsce kaźni, a kat strzelał im w tył głowy. Ciało zamordowanych nie wydano rodzinom. Pogrzebano je w nieznanym do dziś miejscu. Śmierć ponieśli: Łukasz Ciepliński, Adam Lazarowicz, Mieczysław Kawalec, Józef Rzepka, Franciszek Błażej, Józef Batory i Karol Chmiel.

Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji "Wolność i Niezawisłość" (tak brzmiała pełna nazwa WiN) w swym szczytowym okresie działania (lata 1945 - 1946) skupiał od 20 do 25 tys. członków. Powstał 2 września 1945 r. I choć miał akowskie korzenie, to jego zadaniem nie była walka zbrojna, lecz tajna działalność polityczna.

"Musimy przygotować się i przystąpić do walki w odmiennej, nowej formie, o niezmiennie, podstawowe cele, o pełną suwerenność, rzeczywistą demokrację w duchu zachodnioeuropejskim" - napisali twórcy WiN w dokumencie programowym.

Dokładniej swe cele sformułowali w dokumencie "O wolność obywatela i niezawisłość państwa". Mówił on m.in. o konieczności zagwarantowania w Polsce: wolności słowa, przekonań politycznych i zrzeszania się. Domagał się zaprzestania represji wobec opozycji oraz żołnierzy podziemia.

Zrzeszenie stało się pierwszorzędnym celem dla komunistycznych służb bezpieczeństwa. Zaledwie w kilka miesięcy po jego założeniu, bezpieka aresztowała kierownictwo organizacji z jej pierwszym prezesem płk. Janem Rzepeckim (listopad 1945 r.). Do 1948 r. rozbite zostały kolejne zarządy: II z płk. Franciszkiem Niepokólczyckim na czele (październik 1946 r.), III - działający pod kierownictwem ppłk. Wincentego

Kwiecińskiego (styczeń 1947) i IV - z prezesem mjr. Łukaszem Cieplińskim.

Ciepliński wpadł w ręce bezpieki 27 listopada 1947 r. w Zabrze. W grudniu 1947 r. przewieziono go do Warszawy i osadzono w więzieniu na Mokotowie. Prezes IV zarządu początkowo uwierzył w "dobrą wolę" urzędników Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i zawarł z nimi "dżentelmeński" układ. Za obietnicę rezygnacji z represji wobec członków WiN ujawnił część informacji związanych z działalnością Zrzeszenia.

Dość szybko jednak zorientował się, że został oszukany, a prześladowania dotknęły członków organizacji. Odmówił współpracy. Wówczas zaczęły się okrutne tortury. Jeden z więźniów wspominał po latach: "Wielokrotnie Łukasza Cieplińskiego na przesłuchania wynoszono na kocu, gdyż miał połamane kości rąk i nóg, a później przynoszono do celi nieprzytomnego". Nieludzko traktowano również innych WiN-owców. Wiceprezesowi IV zarządu, mjr. Adamowi Lazarowiczowi wybito zęby, kpt. Franciszek Błażej szef Działu Propagandy miał ciągle ropiejące rany na nogach, kpt. Józef Rzepka, szef Działu Politycznego został doprowadzony do obłądu.

Proces IV Zarządu, który rozpoczął się 5 października 1950 r. był - jak podkreśla Elżbieta Jakimek-Zapart z IPN ("Nie mogłem inaczej żyć... Grypsy Łukasza Cieplińskiego z celi śmierci") - "publicznym pokazem siły ze strony rządzącego reżimu komunistycznego wobec zmęczonego wcześniejszą walką o niepodległość społeczeństwa".

Na ławie oskarżonych zasiedli: Łukasz Ciepliński, Adam Lazarowicz, Mieczysław Kawalec, Ludwik Kubik, Józef Rzepka, Franciszek Błażej, Józef Batory, Karol Chmiel, Joanna Czarnecka i Zofia Michałowska. Zarzucano im m.in.

współpracę hitlerowcami podczas okupacji i działania przeciw władzy.

Ich los był przesądzony jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy. Oskarżonym przerywano wypowiedzi, stosowano przemoc psychiczną. Na nic zdały się wyjaśnienia Cieplińskiego, że zarzuty mają fałszywy charakter, że nie zna treści protokołów przesłuchań, że podpisywał je pod przemocą, że nie pamięta, co mówił, ponieważ często był nieprzytomny. "W czasie śledztwa leżałem skatowany w kałuży własnej krwi. Mój stan psychiczny był w tych warunkach taki, że nie mogłem sobie zdawać sprawy z tego, co pisał oficer śledczy" - przekonywał prezes WiN.

Rozprawie towarzyszyła propagandowa kampania medialna. Fragmenty procesu transmitowano przez radio i tzw. szczekaczki (głośniki na ulicach). "Trybuna Ludu" pisząc o procesie określała oskarżonych mianem "zwykłej szajki szpiegów i morderców" działających na zlecenie "imperialistów i podżegaczy wojennych".

14 października 1950 r. sąd wydał wyrok. Prezes IV Zarządu Łukasz Ciepliński został pięciokrotnie skazany na śmierć. Najwyższy wymiar orzeczono także wobec sześciu jego najbliższych współpracowników. Kubik dostał dożywocie, a Czarnecka i Michałowska wieloletnie więzienie.

"Kochana Wisiu ! Jeszcze żyję, chociaż są to prawdopodobnie ostatnie dni. Siedzę z oficerem gestapo. Oni otrzymują listy, a ja nie. A tak bardzo chciałbym otrzymać chociaż parę słów Twoją ręką napisanych (...) Ten ból składam u stóp Boga i Polski(...) Bogu dziękuje za to, że mogę umierać za jego wiarę świętą, za moją Ojczyznę i za to, że dał mi tak dobrą żonę i wielkie szczęście rodzinne" - pisał Ciepliński w grypsie do żony miesiąc przed egzekucją.

W uzasadnieniu wyroku płk Warecki napisał m.in.: "Wyrok ten, przeto powinien stanowić przestrożę dla każdego, kto ośmieliłby się podnieść rękę na Władzę Ludową w Polsce i zdobyć mas pracujących".

Obrońcy wnieśli apelację, ale Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie 16 grudnia 1950 r. podtrzymał wyroki. 20 lutego 1951 r. prezydent Bolesław Bierut odmówił skazanym prawa łaski.

Dopiero 17 września 1992 r. Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego unieważnił wyrok Sądu Rejonowego w Warszawie.

3 maja 2007 r. Order Orła Białego nadał pośmiertnie Cieplińskiemu w uznaniu znamienitych zasług dla Rzeczypospolitej Polskiej prezydent Lech Kaczyński.

PAP - Nauka w Polsce

wka/ kyc/ ls/ bsz

www.naukawpolsce.pap.pl

Zdjęcie w tle, źródło: Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej.



Wydarzenia marcowe. Kampania antysyjonistyczna



Z prof. **Dariuszem Stołą**
rozmawia Michał Starczewski

Czy można utożsamiać wypadki marcowe z kampanią antysyjonistyczną?

Oczywiście nie, bo antyżydowska nagonka była tylko jednym z nurtów Marca. Najważniejszy był bunt młodzieży. Objął on nie tylko studentów we wszystkich ośrodkach akademickich, ale także młodzież w niektórych miastach, w których nie było uczelni. Rozmiary protestu - mierzone liczbą ludzi

zaangażowanych w różne jego formy, skalą przemocy, którą władze odpowiedziały na bunt, mobilizacją milicji, ZOMO, SB, ORMÓ, aktywu partyjnego itd. - były naprawdę znaczne. Protesty młodzieży wywoływały też ryzyko rozlania się buntu na inne grupy społeczne, a tego władze bardzo się obawiały. Kampania antyżydowska, zwana wówczas antysyjonistyczną, nie była zatem najważniejsza, ale - najgłośniejsza. Powiedziałbym nawet, że propagandowy zgiełk, wściekła nagonka słowna na Żydów, były swego rodzaju zasłoną

dymną. W prasie i na wiecach atakowano syjonistów, a na ulicach bito pałkami studentów nie pytając o pochodzenie. Choć SB ze szczególnym zamiłowaniem wyszukiwała wśród nich "syjonistów", to olbrzymia większość pobitych, aresztowanych itd. - nie była Żydami.

Jaka była różnica między antysemityzmem i antysyjonizmem? Jak funkcjonowały te pojęcia?

Komuniści od początków istnienia, jeszcze przed rewolucją bolszewicką, byli przeciwnikami wszelkiego nacjonalizmu, w tym też nacjonalizmu żydowskiego, ponieważ niejako odwodził on masy od proletariackiej solidarności i walki klasowej. Syjonizm to najważniejszy z nurtów żydowskiego ruchu narodowego. Komuniści, także żydowscy, zwalczali więc syjonistów, podobnie jak polscy komuniści - endeków. Komuniści żydowscy, ideologicznie przeciwni nacjonalizmowi, mieli w syjonistach również konkurentów w walce o wpływy wśród proletariatu żydowskiego. Później, już za rządów Stalina, w partyjnej nowomowie sowieckiej, słowo "syjonista" stało się substytutem słowa "Żyd". Słowo to pozwalało atakować Żydów z zachowaniem pozorów marksistowsko-leninowskiej poprawności. To nie jest zresztą odosobniony przypadek: bardzo wiele terminów znaczyło wówczas coś innego niż w zwykłym języku, na przykład "faszysta" mógł być nazwany praktycznie każdy, także socjalista, a "demokracja" oznaczała dyktaturę. Słowo "syjonista" stało się więc pewnego rodzaju etykietą, dzięki której marksista-leninista mógł atakować ludzi rzekomo za ich nacjonalizm, a faktycznie za pochodzenie etniczne czy rasowe.

Kim był "Żyd" w roku 1968 w przekazie medialnym?

O syjonizm oskarżano przede wszystkim polskich Żydów i Polaków żydowskiego

pochodzenia, ale "syjonistą" mógł zostać każdy. Osoba, którą nim mianowano, stawała się nim bez względu na jej opinię w sprawie państwa Izrael, bez względu na to, czy była Żydem z pochodzenia, nawet w rozumieniu nazistowskich ustaw norymberskich. Było tak zwłaszcza, kiedy kampania "weszła w lud", to znaczy kiedy na niższych szczeblach zaczęto jej używać do różnych osobistych porachunków. Znalazłem w dokumentach informacje o swobodnym przyklejaniu łatki "syjonisty", co było łatwą i skuteczną metodą zaszkodzenia komuś, bo trudno było udowodnić, że się nie jest syjonistą. Jak mówią Rosjanie: udowodnij, że nie jesteś wielbłądem. Dowodem na zakażenie syjonizmem był na przykład nie dość entuzjastyczny stosunek do kampanii, że taki to a taki towarzysz żydowskiego pochodzenia, zamiast pochwalić antysemitów - milczał. Bywało nawet, że ktoś jechał po świadectwo chrztu, bo chciano wyrzucić go z partii jako "syjonistę", a on trafnie rozumiejąc, co to znaczy, pokazywał świadectwo chrztu. Pamiętajmy, że dzieje się to w leninowskiej, ateistycznej partii!

Ten wymaginowany syjonista w obrazie tworzonym przez propagandę miał różne cechy, często wzajemnie się wykluczające. Ich wspólnym mianownikiem było, że jest ohydny i straszny. Łączy go to z innymi obiektami kampanii nienawiści w krajach komunistycznych. Począwszy od Związku Radzieckiego w latach trzydziestych, przez bardzo wiele kampanii w Polsce i innych krajach Bloku w latach pięćdziesiątych, wizerunek wroga miał nieodmiennie budzić gniew, potępienie i wstręt. Częstotliwość i intensywność takich kampanii znacznie zmalała po śmierci Stalina, ale co jakiś czas partia wyciągała z lamusa sprawdzone wzory nienawistnej mobilizacji mas. Zaledwie dwa lata przed Marcem, w 1966 roku, przeprowadzono w Polsce zmasowany atak propagandowy na biskupów rzymskokatolickich, czyli grupę

dosyć odległą od syjonistów, metody ataku były jednak podobne. Propaganda przedstawiała wroga jako kogoś niebezpiecznego, odrażającego, przebiegłego, często zamaskowanego. W 1968 tworzyła z tego Żyda-"syjonisty" jakby Chimere. W mitologii greckiej jest to potwór-mutant, który ma głowę kobiety, ciało lwa, ogon węża itd. Podobnie syjonista w propagandzie 1968 roku jest zlepkim: mógł być zarazem kosmopolitą i nacjonalistą albo trockistą i agentem amerykańskiego imperializmu. W realnym świecie jest to nieprawdopodobne, takie cechy się wzajemnie wykluczają, ale w obrazie propagandowym te sprzeczności nie rażą - co więcej, potęgują wrażenie, że taki wróg jest szczególnie niebezpieczny i ohydny.

Czy wydarzenia marcowe, lub szerzej - kampania antysyjonistyczna, były owocem prowokacji?

Słowo "prowokacja" było często używane w opisach Marca, a nawet nadużywane, bo tezy o prowokacji opierały się domysłach i spekulacjach - żadnych twardych dowodów nie mamy. Wszelkie tak zwane teorie spiskowe mają bardzo wątpliwe podstawy. Bunt studencki nie został sprowokowany, bo też jak można sprowokować tysiące ludzi w różnych miastach? Władza chciała buntowi zapobiec, ale nie zdołała. Natomiast ewidentnie przedmiotem manipulacji było uczynienie z "syjonisty" rzekomego inspiratora tego buntu, ukrytego za nim manipulatora. Samo hasło "syjoniści" pojawia się dopiero kilka dni po rozpoczęciu zamieszek. Najpierw były dwa dni niepewności, kiedy aparat propagandowy jeszcze nie wie, jak zareagować, publikuje krótkie wzmianki w gazetach - kłamliwe, ale o "syjonistach" nic tam nie ma. Dopiero potem zapadają decyzje, żeby "syjonistów" połączyć z buntem i w ten sposób skompromitować przywódców studenckich i cele ruchu studenckiego. Głównym celem

sięgnięcia po hasła antyżydowskie było oddzielenie buntu od robotników, wyobcowanie jego przywódców jako rozwydrzonych synalków żydowskich komunistów, których ojcowie-staliniści próbują wrócić do władzy. Władze bardzo obawiały się buntu robotniczego i w potrzebie sięgnęły po hasła, które kojarzymy raczej ze skrajną prawicą.

Jaką rolę odegrało w tym MSW?

To było najważniejsze ministerstwo w PRL. Rola MSW w uczynieniu z Żydów zastępczego obiektu ataku propagandowego była kluczowa, co teraz już wiemy bardzo dobrze, mając dostęp do dokumentów tego ministerstwa. To właśnie w raportach MSW od początku zamieszek studenckich eksponowani byli studenci pochodzenia żydowskiego, nawet ci, którzy nie brali w nich żadnego udziału. Raporty SB celowo wyliczały nazwiska wyglądające na żydowskie - albo też znane, zwłaszcza młodych ludzi, którzy byli dziećmi wyższych działaczy partii. Chodziło o pokazanie, że to odsunięci na boczny tor dawni stalinowcy próbują wykorzystać bunt do swoich celów. Stąd figura "bankruta politycznego", która pojawia się w prasie obok "syjonisty".

Czy można rozumieć te wydarzenia jako walkę o władzę między frakcjami wewnątrz partii?

Oczywiście tak, i to całkiem skuteczną. Pewna frakcja - czy grupa, bo trudno ocenić, w jakim stopniu działała ona w sposób skoordynowany - na pewno w Marcu przegrała. W składzie Biura Politycznego nastąpiły znaczące zmiany. Odszedł Edward Ochab, który był drugą co do znaczenia, po Gomułce, postacią w PZPR. Przypomnę, że był on przez pewien czas pierwszym sekretarzem, przed powrotem Gomułki w 1956 roku. Od pewnego czasu coraz ostrzej krytykował Gomułkę, a w czerwcu 1967 roku jawnie mu się przeciwstawił. Sądzę, że Gomułka

bunt studencki i to, co mu podsunęło MSW - w postaci rzekomego żydowskiego spisku stojącego za tym buntem - wykorzystał do usunięcia z kierownictwa PZPR swoich oponentów i skonsolidowania go na własnych warunkach. I to mu się udało. Tak to wyglądało na najwyższym szczeblu. Do tego trzeba dodać na poziomach pośrednich i lokalnych różne drobne rozgrywki, w których wykorzystywano kampanię antysyjonistyczną dla bardzo przyziemnych celów różnych klik, "układów" i osób. Relacje o Marcu przedstawiają sporo różnych mętnych postaci, które dzięki nagonce mogły utracić konkurenta do stanowiska, załatwić stare porachunki itp.

Ile u różnych aktorów tych "wydarzeń" było antysemityzmu, a ile konformizmu i cynizmu?

Trzeba by pytać o przypadki poszczególnych osób: w jakim stopniu ktoś cynicznie używał "antysyjonistycznego" języka, wiedząc, że to jest bujda zupełna albo w znacznej części, a w jakim stopniu antyżydowskie uprzedzenia i resentymenty wypaczały jego widzenie i wierzył szczerze, że ci Żydzi mają swoje spiski, chcą rządzić światem i trzeba wreszcie zrobić z nimi porządek. Tego się nie da rozdzielić. Na pewno ludzie na szczytach władzy, mający więcej informacji niż zwykły czytelnik gazet, robili to z dużą dozą cynizmu. W tak zwanych masach uprzedzenia antyżydowskie ewidentnie były rozpowszechnione, ziarna kampanii padały na podatny grunt, na przykład mitu "żydokomuny". Kampania antyżydowska nie byłaby tak skuteczna w mobilizacji mas, gdyby na taki grunt nie trafiła.

Z drugiej strony nie było tak, że ktoś rzucił w mediach hasło: "winni są syjoniści" i

gniewny tłum ruszył do pogromu. Władze zmobilizowały gigantyczny aparat propagandowy, niemal wszystkie gazety, radio, telewizja były na usługach partii i pluły tym jadem, a komitety PZPR organizowały dziesiątki tysięcy zebrań, gdzie tłumaczono ludziom, jaki ten syjonizm jest straszny. To była jawna recydywa stalinizmu: cała ta nagonka w prasie, radiu, telewizji, zebrania, masówki - to było powtórzenie standardowych zachowań z kampanii nienawiści okresu stalinowskiego. Tak wyglądały kampanie przeciwko kułakom, akowcom, PSL, klerowi itd. To był szok dla wielu ludzi, bo już od lat czegoś podobnego nie widzieli. Kampania przeciwko biskupom była jadowita, ale miała trochę inny charakter - miała wbić klin między biskupów a masy wiernych, podkopać zaufanie do nich. Gdy obiektem nagonki byli Żydzi, stalinowskie metody rozpalania nienawiści napotykały mniejszy opór.

Prof. **Dariusz Stola** - pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN, profesor Collegium Civitas i członek Ośrodka Badań nad Migracjami UW; autor m.in.: *Nadzieja i zagłada. Ignacy Schwarzbart - żydowski przedstawiciel w Radzie Narodowej RP (1940-1945)* (1995); *Kampania antysyjonistyczna w Polsce 1967-1968* (2000); współredaktor: z Marcinem Zarembą - *PRL: trwanie i zmiana* (2003); z Claire Wallace - *Patterns of Migration in Central Europe* (2001).

Fotografia: wiec antystudencki w nowohuckiej hali Garaży w marcu 1968 r., [Instytut Pamięci Narodowej](#), CC-BY-NC.

Modele Toyoty, o których prawdopodobnie nigdy nie słyszałeś



Biorąc pod uwagę, że Toyota jest jednym z największych producentów samochodów na świecie, można śmiało założyć, że produkowane przez nią auta są powszechnie znane. Tak oczywiście jest w przypadku popularnego modelu Corolla czy legendarnego Land Cruisera, jednak bogata historia japońskiej firmy kryje wiele niespodzianek. Oto lista wyprodukowanych przez Toyotę modeli, które mogą być dla was zaskoczeniem!

Toyota Su-Ki

Pojazd ten pochodzi z czasów drugiej wojny światowej i był produkowany od 1943 roku. Używany był głównie przez japońskie wojska zgromadzone na Pacyfiku. Su-Ki to dwuczęściowa amfibia, która została zaprojektowana przez Cesarską Armię Japońską. Konstrukcja została osadzona na Toyocie z napędem 4x4, a całość napędzana była przez sześciocylindrowy silnik benzynowy o mocy 65 KM. W sumie wyprodukowano 198 sztuk.

Toyota Origin

W 2000 roku Toyota obchodziła niemałe święto – bramy fabryki opuścił bowiem 100-milionowy samochód wyprodukowany w Japonii przez tę firmę. Z tej okazji opracowano wyjątkowy model – Toyotę Origin, nawiązującą wyglądem do pierwszej generacji Toyoty Crown. Ten unikalny sedan powstał w liczbie zaledwie 1000 egzemplarzy, a całość oparto na konstrukcji reprezentacyjnej limuzyny Toyota Progres. We wnętrzu można znaleźć ręcznie kształtowane drewno, skórzaną tapicerkę i tylne drzwi otwierające się do tyłu. W swoim czasie Origin kosztował około 60 tys. dolarów.

Toyota Classic

Toyota Classic z 1996 roku była kolejnym modelem, który powstał z okazji jednego z jubileuszy firmy. W tym przypadku była to 60. rocznica powstania modelu Toyota AA, pierwszego auta produkcyjnego marki. Pomimo swojego klasycznego wyglądu został oparty na konstrukcji pickupa Hilux czwartej generacji. W sumie zbudowano 100 egzemplarzy, a każdy z nich był wyposażony w luksusowe skórzane wnętrze. Samochód ten kosztował około 75 tys. dolarów i był sprzedawany wyłącznie w Japonii.

Toyota Lexcen

W 1989 roku, kiedy w Australii rządziła Partia Pracy, doszło do sojuszu United Australian Automobile Industries, w skład którego weszły firmy Holden oraz Toyota Australia. W ten sposób na tamtejszym rynku pojawiły się takie modele jak Holden Apollo (Toyota Camry), Holden Nova (Toyota Corolla) oraz Toyota Lexcen, bliźniaczy model pełnowymiarowego sedana Holdena Commodore drugiej generacji. Australijska limuzyna była spokrewniona z Oplem Senator i Oplem Omega.

Toyota Sprinter Trueno Convertible

Szansę na spotkanie tego auta w Europie są bliskie zeru. Po pierwsze dlatego, że samochód ten sprzedawany był tylko w salonach Toyoty w japońskim mieście Tama. Po drugie, auto nie cieszyło się zbyt dużą popularnością. Cena odmiany bez dachu była bowiem dwukrotnie większa od zamkniętego nadwozia coupe.

Nazwa Sprinter Trueno brzmi egzotycznie? Nie dla fanów driftingu. Jest to bowiem odmiana słynnej tylnonapędowej Corolli AE86, różniąca się od innych wersji tego wyjątkowego modelu chowanymi reflektorami.

Toyota Camp Mate

Model Camp Mate stanowi wyraźny dowód na to, że nawet w oparciu o tak kompaktowego minivana, jakim była Toyota Lite Ace o długości niespełna 4 metrów, można zbudować rasowego kampera. Samochód był dostępny wyłącznie w Japonii. Jego atutem było nadwozie, które po zaparkowaniu można było sprytnie powiększyć, by zapewnić prawie dwukrotnie większą przestrzeń życiową. Samochód napędzany był przez dwulitrowy silnik Diesla, a napęd przekazywała manualna skrzynia o pięciu przełożeniach.

Toyota Camry w Polsce



Historia Toyoty Camry w Polsce rozpoczęła się 1987 roku. Przez wiele lat był to flagowy model osobowy w gamie marki, który u progu nowego stulecia został wyparty przez Lexusa. Niewykluczone jednak, że wkrótce Camry wróci do polskich salonów.

W sierpniu 1987 r. został otwarty pierwszy salon Toyoty w Radości. Toyota za pośrednictwem Nissho Iwai Corp. i Pol-Mot powoli, lecz konsekwentnie penetrowała polski rynek. Mimo kryzysu panującego w schyłkowym PRL, nie

brakowało chętnych do zakupu Corolli czy Cariny. Jesienią tego samego roku ofertę Toyoty w Polsce wzbogacił model Camry XLD napędzany 2-litrowym turbodieslem 2C-T o mocy 84 KM. Sprzedawano je z nadwoziem sedan, a od 1989 r. także jako kombi. Auto wyróżniało się atrakcyjnym, eleganckim wyglądem, znakomitymi jak na diesla osiąganymi połączonymi z niskim zużyciem paliwa oraz przestronnym wnętrzem. Nowością na polskim rynku było wspomaganie układu kierowniczego oferowane w standardzie. U schyłku lat 80.

pojazd należał do najlepszych aut klasy średniej wyższej oferowanych w Europie.

We wrześniu 1989 (Motor nr. 34/89) red. Wojciech Sierpowski opisywał wrażenia z jazdy Toyotą Camry 2.0 Turbodiesel:

„Komfort jazdy w Toyocie Camry zgodnie z przewidywaniem jest duży. Układ jezdy bardzo dobrze radzi sobie ze złym stanem naszych dróg. Świetnie skonstruowane są także siedzenia. Za wzorowe uznałem dobranie ich twardości oraz wyprofilowanie. Wnętrze, a przede wszystkim, to co jest potrzebne kierowcy, zaprojektowane zostało zgodnie z zasadami ergonomii (...) Toyotę miałem okazję przejechać się wiele kilometrów za miastem. Muszę stwierdzić, że auto to świetnie nadaje się do długotrwałych wyjazdów. Wzorowo został w tym samochodzie opracowany mechanizm zmiany biegów (...) Do przełączania biegów wystarczą niewielkie ruchy (...) Zadziwił mnie brak przenoszenia się jakichkolwiek drgań zespołu napędowego na dźwignię. Reasumując, Toyotę Camry uważam za samochód wysokiej klasy, dopracowany, przy czym zbyt spokojna wydaje mi się stylizacja nadwozia”.

Kto w schyłkowym PRL chciał zakupić zachodni samochód, musiał być szczęśliwym posiadaczem „twardej” czyli wymiennej waluty: dolarów, zachodnioniemieckich marek czy też innych środków płatniczych z tzw. krajów kapitalistycznych.

W 1989 roku PRL chylił się ku upadkowi. Szalała inflacja. Latem amerykański dolar kosztował już 12 tys. zł. przy średniej krajowej 206 tys. zł (ok. 17 dolarów). Cena Camry 2.0 XL Turbodiesel wynosiła około 10 tysięcy USD. Przeciężny „Kowalski” musiałby więc pracować na takie auto...588 miesiące, czyli ponad 40 lat! Naturalnie pod warunkiem, że całe wynagrodzenie odkładałby na wymarzony pojazd.

Flagowiec z Tsutsumi

12 września 1991 r. podczas 54. edycji salonu samochodowego IAA we Frankfurcie zaprezentowano nową generację Toyoty Camry (w Japonii – Scepter, tzn. zjawą). Nowa rodzina pojazdów oznaczona symbolem SXV10 była znacznie większa, szybsza i lepiej wyposażona od poprzednika. Eleganckie nadwozie o długości 4,72 m i szerokości 1,77 m projektował zespół Osamo Shikado. Już na pierwszy rzut oka widoczne było duże podobieństwo do flagowej limuzyny koncernu Toyota – Lexusa LS400 (w Japonii – Toyota Celsior) oraz do nowej Corolli z nadwoziem sedan (E100).

Projektantom udało się osiągnąć znakomity, niski współczynnik oporu powietrza Cx 0,31. Wnętrze było bogato wyposażone i niezwykle przestronne. Bagażnik miał pojemność 517 litrów. Nowością były jednostki napędowe z czterema zaworami na cylinder. Bazowy silnik 5S-FE miał pojemność skokową 2 164 cm³ i rozwijał 136 KM. Większy, trzylitrowy V6 o symbolu 3VZ-FE (188 KM) zapewniał znakomite osiągi, imponującą elastyczność i niepowtarzalne brzmienie.

14 grudnia 1991 r. red. Jerzy Dyszy opublikował pierwszy test Camry na łamach tygodnika „Motor” pod znamienym tytułem „Toyota zamiast BMW”:

Kilka tygodni po frankfurckim debiucie najnowszej Toyoty Camry, można u nas kupić najdroższą i najbardziej wyrafinowaną wersję tego samochodu! Nie jest to już, proszę państwa, diesel-kombi bez żadnego wyposażenia specjalnego. Odwrotnie. Na rynek polski zaoferowano samochód z 24-zaworowym, sześciocylindrowym, benzynowym silnikiem z katalizatorem spalin, w dwóch wersjach skrzyni biegów (zwykła,

pięciobiegowa i automatyczna, czterobiegowa) i z listą fabrycznych dodatków, za które nie pobiera się dodatkowych opłat, tak długą, że wymienianie ich stałoby się nudne. Po prostu wszystko, co w tym samochodzie może być sterowane elektrycznie lub elektronicznie – jest zamontowane. Łącznie z radiem naprawdę wysokiej klasy wraz z elektroniczną blokadą przeciwwłamaniovą. Muszę na koniec dodać, że jest to samochód naprawdę wysokiej klasy, co w połączeniu z dobrze znaną jakością Toyoty, jak na Polskę rewelacyjnym zapleczem serwisowym i względnie niską ceną, spowoduje na pewno jego duży sukces na naszym rynku. Ciekawe jednak czy Toyota Motor Poland nie zostanie zasypana pytaniami „a kiedy sprowadzicie nową Camry w wersji diesel?”.

Diesel nigdy już nie pojawił się w gamie Camry. Jednostka SXV10 oferowana w Polsce pochodziła wyłącznie ze słynącej z wyjątkowej jakości montażu fabryki Tsutsumi w Japonii; nie obejmował jej kontyngent bezcłowy. 12 grudnia 1991 r. Rada Ministrów uchwaliła podniesienie cła do 35 %. Do ceny aut o pojemności powyżej 2 litrów doliczano akcyzę 50% oraz VAT, co niemal podwajało cenę pojazdu. Żaden inny kraj w Europie nie miał tak restrykcyjnego systemu celno-podatkowego. W 1992 r. w Polsce sprzedano 430 tys. nowych samochodów, w tym ponad 3 tys. Toyot. Dealerzy TMPL szacują, że wśród nich było ok. 100–150 nowych egzemplarzy Camry w cenie 454–474 milionów złotych. Wyższa cena dotyczyła egzemplarzy z automatyczną skrzynią biegów.

Znakomita opinia, jaką cieszył się ten pojazd w USA, spowodowała masowy import aut zza Atlantyku. Najczęściej były to samochody po kolizjach i stłuczkach, które naprawiano już w Polsce, po uprzednim zgłoszeniu w Głównym Urzędzie Ceł jako „mienie

przesiedleńcze”. Dość egzotyczną nie tylko w Polsce, ale i w Europie odmianą Camry było produkowane w Georgetown, Kentucky (USA) kombi Camry Station Wagon, dostępne z silnikami 2.2 i 3.0. Pojazd posiadał przestronne wnętrze oraz (opcjonalnie) drugi rząd siedzeń dla dzieci. Station Wagon wyróżniał się niespotykanym rozwiązaniem w postaci dwóch wycieraczek tylnej szyby. W Polsce nie figurował w oficjalnej ofercie TMPL, lecz dealer Carter z Trójmiasta sprowadzał je na specjalne zamówienie klientów. Białym krukiem była pochodząca również ze Stanów elegancka Camry Coupé, oferowana od jesieni 1993 roku w USA i na wybranych rynkach poza Europą.

Bezpieczeństwo zawsze stanowiło dla Toyoty kwestię priorytetową. Toyota Camry jako pierwszy z modeli oferowanych przez TMPL już w 1993 roku posiadała poduszkę powietrzną kierowcy w standardzie. Dwa lata później seryjne wyposażenie sprzedawanych w Polsce Camry obejmowało już także airbag dla pasażera.

Toyota Camry oferowana w polskich salonach w 1994 roku wyposażona była m.in. w automatyczną skrzynię biegów, ABS, klimatyzację, elektryczne szyby i lusterka oraz wysokiej klasy zestaw audio. Polscy nabywcy zamawiali najczęściej Camry w metalizowanym kolorze Cashmere Beige zwanym „szampanem” oraz w ciemnozielonym odcieniu Dark Emerald Pearl.

Latem 1994 roku cena nowej Camry 3.0 w Polsce wynosiła już 988 milionów złotych przy średniej krajowej wynoszącej 5,3 miliona złotych, czyli ponad 186 miesięcy pracy. Kim był statystyczny polski nabywca tego modelu? Według handlowców z autoryzowanych salonów byli to ludzie dojrzały, o ugruntowanej pozycji zawodowej: zwykle uznani lekarze specjaliści, architekci oraz prawnicy. Słowem, ludzie zamożni, lecz

niepodążający ślepo za „modnymi” niemieckimi markami z Ingolstadt, Monachium i Stuttgartu. Zwykle nabywcy Camry kierowali się znakomitą opinią, jaką cieszyło się auto w USA; często osobiście zetknęli się tam z topowym modelem Toyoty. Nieprzeciętna trwałość Camry powodowała, że egzemplarze z polskich salonów nader rzadko zmieniały właściciela. Nawet dziś na polskich i zagranicznych portalach aukcyjnych można natknąć się na Camry z lat 90. z przebiegami ponad 500 tys. km, sprzedawanymi przez pierwszego właściciela.

Skromny perfekcjonista

W kwietniu 1996 roku wiosenny numer kwartalnika „Toyota News” wydawanego do dziś przez Toyota Motor Poland zapowiadał rychłe wprowadzenie na rynki Europy nowej generacji Camry (XV20), co nastąpiło 3 września 1996 r. Ciekawostką jest fakt, że na wybranych rynkach pojazd sprzedawano jako Daihatsu Altis, w Japonii jako Camry Gracia, zaś w Australii jako Venta. Smukłe nadwozie, elegancka sylwetka, bogate wyposażenie i odziedziczona po poprzedniku topowa jakość sprawiły, że model zbierał znakomite oceny testujących dziennikarzy. Kombi Station Wagon pozostało w ofercie poza Europą, zaś coupé zastąpiono później modelem Solara. Camry XV20 była dostępna wyłącznie z benzynowymi silnikami 2.2 l/136 KM (5S-FE) oraz z trzylitrową, widlastą „szóstką” 1MZ-FE (188 KM). W Polsce auto najczęściej zamawiano w wersji 3,0 l, ze srebrnym lakierem Luna Mist. W standardzie była automatyczna klimatyzacja, ABS, elektryczne szyby i lusterka oraz tapicerka ze szlachetnego weluru. Większość polskich klientów wybrała perfekcyjnie działający „automat” Aisin-Warner.

W 1997 roku sprzedaż Camry XV20 szacuje się na około 100–120 egzemplarzy. Ówczesna sieć Toyoty liczyła już 36

salonów. Dlaczego mimo licznych zalet Camry 3. generacji nie odniosła sukcesu w naszym kraju? Polski rynek został zalany szerokim strumieniem tzw. „składaków”, aut „rozbieranych” przed granicą, a później montowanych ponownie w warsztacie przysłowiowego pana Henia. Powodem były zaporowe cła, których ofiarą padli inni japońscy producenci. Z polskiego rynku wycofała się Mazda oraz należąca do koncernu Toyota marka Daihatsu.

Jeden ze znanych dziennikarzy motoryzacyjnych trafnie określił Camry mianem „skromnego perfekcjonisty”. Doskonała jakość Camry XV20 (oraz wszystkich pozostałych generacji) łączyła się jednak ze zbyt stonowanym jak na gust wielu klientów designem. Nie bez znaczenia była także relatywnie wysoka cena. Miało to ogromne znaczenie na wciąż wschodzącym polskim rynku. Camry była samochodem znakomicie wykonanym, dynamicznym i bezpiecznym, a przy tym bogato wyposażonym, jednak w tamtych latach w Europie nie udało się Toyocie zagrozić niemieckiej dominacji w segmencie premium.

Całkiem inaczej sytuacja wyglądała na rynku amerykańskim. Pojazd stał się błyskawicznie bestsellerem. W 1997 roku Toyota Motor Sales USA z siedzibą w Torrance w Kalifornii sprzedała 394 397 egzemplarzy Camry! Rok później udało się osiągnąć wynik 427 308 aut. W tym samym czasie w Polsce sprzedano 518 019 nowych samochodów wszystkich marek. Camry alias Venta była hitem także w Australii. W gamie samochodów oferowanych przez polskich dealerów Toyoty rolę flagowego modelu przez lata pełniła Camry 3.0 GX z silnikiem o mocy 190 KM. W 1999 roku pojazd kosztował 149 282 zł. Zamówiło go tylko 41 klientów.

Pod koniec lat 90. na polski rynek wchodziła właśnie supermarka koncernu Toyota – Lexus. W niektórych

autoryzowanych salonach powstał „Kącik Lexusa”. Początki japońskiej marki premium były nader skromne. W 1997 roku sprzedano zaledwie dwa egzemplarze GS 300, lecz już 2 lata później polscy nabywcy zamówili 52 egzemplarze, głównie za sprawą debiutującego modelu IS 200. Dziś wiele osób uważa, że to właśnie pojawienie się na polskim rynku nieznaney marki Lexus skanibalizowało model Camry.

W 2002 roku pojawiła się Camry XV30. Pojazd oferowano tylko z „benzyniakami” 1MZ-FE (3,0 l/188 KM) oraz nową jednostką 2AZ-FE o pojemności 2,4 l i mocy 156 KM. W latach 2000–2004 rosła stale sieć salonów Toyoty notowała sprzedaż na poziomie 30–50 egzemplarzy Camry rocznie. Latem 2004 zdecydowano, że Camry zostanie wycofana z polskiej oferty. Debiutujący w

2006 roku następcą, model XV40 po raz pierwszy dostępny także z napędem hybrydowym, nie był już oferowany w oficjalnej sieci Toyota Motor Poland. Ciekawostką jest fakt, że w grudniu 2007 roku uruchomiono montaż Camry XV40 w zakładach TMRU w Sankt Petersburgu.

Toyota Camry od lat pozostaje najpopularniejszym samochodem osobowym w USA. Rocznie sprzedaje się tam około pół miliona egzemplarzy. 10 lipca 2017 r. w Tokio zaprezentowano 8. już generację Camry (XV70). Wiele wskazuje na to, że wkrótce model ten powróci oficjalnie do europejskich, w tym także polskich salonów sprzedaży.



teraz
KOMIKS!

COMICS
now!

wystawa
Muzeum Narodowe w Krakowie
Gmach Główny, al. 3 Maja 1

exhibition
The National Museum in Krakow

ilustracje / illustrations: Kajko, rys. / drawn by Janusz Christak
© CHRISTA/FUNDACJA KRESKA

Znajduję się w sercu piekła

„Znajduję się w sercu piekła” – publikacja z rękopisami Załmena Gradowskiego, członka Sonderkommando w Auschwitz

„[Znajduję się w sercu piekła. Notatki więźnia Sonderkommando odnalezione w Auschwitz](#)” to wstrząsające świadectwo zagłady Żydów prowadzonej w niemieckim nazistowskim obozie Auschwitz. Tekst powstałych w obozie rękopisów Załmena Gradowskiego opublikowany został po polsku, angielsku, niemiecku, francusku, hiszpańsku i włosku na podstawie nowego tłumaczenia z oryginału w języku jidysz.

– Załmen Gradowski, utalentowany literacko młody człowiek, w grudniu 1942 roku został deportowany przez Niemców wraz z całą rodziną z getta w Grodnie do Auschwitz. Jego najbliżsi, w tym rodzice i żona, zostali zamordowani w komorze gazowej natychmiast po przybyciu do obozu. On trafił do Sonderkommando, specjalnej grupy więźniów zmuszonych pracy w komorach gazowych i krematoriach, przede wszystkim do spalania zwłok ofiar – powiedziała Jadwiga Pinderska-Lech, szefowa Wydawnictwa Muzeum.

Więźniowie Sonderkommando, przede wszystkim Żydzi, zmuszani byli zarówno do segregacji mienia zamordowanych i przygotowania go do przewiezienia do magazynów, jak i do pracy bezpośrednio przy obsłudze komór gazowych: wyciąganiu zwłok, wrywaniu złotych zębów, obcinaniu włosów, zmywaniu z



podłogi śladów krwi i ekskrementów, czy spalaniu ciał w piecach krematoryjnych i na stosach spaleniskowych.

– Chcąc ocalić pamięć o swoich najbliższych i poinformować świat o Zagładzie, Załmen Gradowski sporządzał w obozie notatki. Teksty te są wstrząsającym literackim zapisem tragedii. Ich język jest bardzo emocjonalny, w wielu miejscach – wręcz poetycki. Paradoksalnie, w piekle Auschwitz

narodził się pisarz – dodała Pinderska-Lech.

„Któż by uwierzył, że można zabrać miliony ludzi i bez żadnych podstaw poprowadzić na różnego rodzaju rzezie. Któż by uwierzył, że prowadzi się naród na zagładę z powodu diabelskiej woli bandy podłych przestępców. Któż by uwierzył, że prowadzi się naród jako ofiarę przebłagalną za porażkę we własnej walce o władzę i wielkość. Któż by uwierzył, że naród będzie ślepo wykonywać prawo, które niesie ze sobą śmierć i zniszczenie.” – zanotował Załmen Gradowski w obozie Auschwitz.

„Mojemu pisaniu towarzyszy pragnienie, aby chociaż minimum informacji o tej rzeczywistości dotarło do świata, a wówczas Ty, świecie, pomścij wszystko” – napisał więzień.

Obok danych o liczbie zamordowanych Gradowski opisywał w emocjonalnej i pełnej refleksji formie ważniejsze wydarzenia rozgrywane się na terenie krematoriów.

„Dwa znalezione po wojnie na terenie Birkenau rękopisy jego autorstwa składają się z czterech różnych tematycznie opowieści oraz krótkiego listu. Pierwszy, oddzielny notatnik, mógł powstać nawet w 1943 roku. Gradowski opisuje w nim przebieg transportu do KL Auschwitz. Drugi, trzyczęściowy, rozpoczyna się przepiękną metaforyczną przemową do księżycy, a następnie odnosi się do wydarzeń, które rozegrały się na przestrzeni niespełna dwóch tygodni od 24 lutego do 8 marca 1944 roku. Najpierw Gradowski w niezwykle emocjonalny sposób opisał selekcję wśród więźniów Sonderkommando, którą esesmani przeprowadzili 24 lutego. W jej rezultacie ponad połowa członków komanda specjalnego została wywieziona z obozu i stracona. Następnie przedstawił zagładę

prawie czterech tysięcy Żydów z getta Theresienstadt, których zamordowano nocą z 8 na 9 marca 1944 roku, po sześciomiesięcznym pobycie w Birkenau” – czytamy we wstępie autorstwa dr. Igora Bartosika z Centrum Badań Muzeum.

Załmen Gradowski zginął w Auschwitz prawdopodobnie 7 października 1944 roku, podczas buntu Sonderkommando. Jego rękopisy przetrwały zakopane w pobliżu krematoriów. Zostały znalezione niedługo po wojnie na terenie byłego obozu Birkenau.

„Pierwszy z rękopisów Gradowskiego został odnaleziony wkrótce po wyzwoleniu KL Auschwitz, gdy na terenie byłego obozu rozpoczęła swoją działalność Nadzwyczajna Radziecka Komisja Państwowa, zajmująca się gromadzeniem dowodów zbrodni popełnionych przez SS. Od samego początku członkowie komisji byli wspierani w swoich pracach przez byłych więźniów obozu. Jednym z nich był zbiegły na trasie marszu ewakuacyjnego do Wodzisławia Śląskiego członek Sonderkommando, Szlomo Dragon. Znajdąc dokładne miejsce ukrycia rękopisu Gradowskiego na terenie krematorium III, osobiście wy dobył go z ziemi w dniu 5 marca 1945 roku” – czytamy we wstępie.

Publikacja ta, prezentująca wszystkie znalezione zapiski Załmena Gradowskiego, jest przede wszystkim bezcennym dokumentem naocznego świadka eksterminacji Żydów przez niemieckich nazistów, ale stanowi również próbę zobrazowania jednej z najczarniejszych kart historii XX wieku, jaką była Szoa.

Publikacja dostępna jest w księgarniach na terenie Miejsca Pamięci oraz w [naszej księgarni internetowej](#).

| TESTUJEMY |

Dysk do zadań specjalnych w terenie



Najnowszy dysk zewnętrzny marki LaCie daje cyfrowym twórcom więcej czasu na kreatywną pracę w terenie, rejestrowanie fantastycznych filmów i zdjęć przy użyciu dronów, kamer i aparatów, ograniczając jednocześnie czas spędzany przy biurku na przeglądaniu i porządkowaniu zarejestrowanego materiału. LaCie DJI Copilot to zaawansowane rozwiązanie, które umożliwi błyskawiczną transmisję danych bez konieczności łączenia go z komputerem. Wystarczy podłączyć do niego drona, kartę SD,

aparat lub urządzenie mobilne, na którym można odtworzyć i organizować wszystkie zapisane pliki.

Najnowsze rozwiązanie w portfolio LaCie charakteryzuje się wzmocnioną konstrukcją odporną na zachlapania, kurz i upadki. Dzięki temu idealnie sprawdzi się nawet w najbardziej ekstremalnych warunkach.

Podczas pracy w terenie najważniejsza jest funkcjonalność i ograniczenie ilości sprzętu, który zajmuje miejsce i dużo waży. LaCie DJI Copilot pozwala na transmisję danych bezpośrednio na dysk z karty SD, aparatu lub smartfonu. To oznacza, że nie ma potrzeby podłączenia komputera, żeby dokonać kopii zapasowej. Aby przejrzeć zdjęcia lub wideo wystarczy wykorzystać swój telefon lub tablet, a dzięki aplikacji BOSS (Backup On Set Solution) możliwe jest zarządzanie, odtwarzanie i organizowanie wszystkich plików z poziomu urządzenia mobilnego po podłączeniu go do dysku. Co więcej, o postępie transmisji danych z aparatu na dysk informuje wbudowany wyświetlacz, który wskazuje także poziom naładowania baterii oraz dostępną przestrzeń dyskową. LaCie DJI Copilot może pełnić także funkcję powerbanku dla podłączonych urządzeń mobilnych.

LaCie DJI Copilot powstał w wyniku strategicznego partnerstwa firmy Seagate z DJI, wiodącym producentem bezzałogowych urządzeń latających, który poszukuje zaawansowanych rozwiązań w zakresie danych dla ekosystemu UAV. Premierowy produkt został zaprojektowany przez światowej klasy projektanta produktowego – Neila Poultona.

Premierowy dysk jest dostępny w pojemności 2 TB, co pozwoli użytkownikom na łatwe przechowywanie do 65 godzin nagrań wideo 4K 30fps i ponad 20 tysięcy zdjęć w formacie RAW. LaCie DJI Copilot jest również objęty 3 letnim planem Rescue Data Recovery Services, usługi odzyskiwania danych dającej dostęp do międzynarodowego zespołu najlepszych ekspertów w zakresie odzyskiwania danych, którzy mogą się poszczycić wskaźnikiem satysfakcji klienta na poziomie 95%. Dodatkowo podczas rejestracji LaCie DJI Copilot można otrzymać miesięczny abonament Adobe® Creative Cloud All Apps, dający dostęp do wszystkich aplikacji firmy Adobe na komputery i urządzenia przenośne. Dysk LaCie DJI Copilot trafi do sprzedaży wiosną tego roku, w sugerowanej cenie 1749 zł.

DRUŻYNA WOJÓW WIŚLAŃSKICH „KRAK” • DK „PODGÓRZE” • RADA DZIELNICY XIII
zapraszają na

**TRADYCYJNE
ŚWIĘTO
RĘKAWKI
NA KOPCU KRAKUSA
3/04/2018**



Moc na wyciągnięcie ręki



Rozmowy telefoniczne, przeglądanie Facebooka, wrzucanie zdjęć na Instagrama, pisanie wiadomości i wysyłanie maili – czego to nie robimy za pomocą smartfona. Wszystkie te i inne czynności wymagają dużej ilości energii, a przecież ostatnią rzeczą, której chcemy, to rozładowany telefon. Ten problem możemy szybko wyeliminować dzięki nowej odsłonie superpojemnego power packa od firmy Hama.

Mobilna supermoc

Rozładowany telefon bywa częstą przyczyną frustracji – nie jesteśmy przecież przyzwyczajeni do utraty kontaktu ze światem. Ładowarka mobilna Hama Joy umożliwia szybkie i bezproblemowe zasilenie wyczerpanej baterii. Dzięki 10 atestowanym ogniom mamy pełną gwarancję najwyższego standardu bezpieczeństwa i jakości. Power pack Hama Joy o pojemności 20000 mAh naładuje nasz telefon aż do pięciu razy na jednym uzupełnieniu energii. Urządzenie pozwala szybko przywrócić do życia telefon lub inne akcesoria dzięki podłączeniu za pośrednictwem kabla micro USB. Power pack posiada dwa wyjścia USB.

Bezpieczeństwo i wygoda gdziekolwiek jesteś

Pojemność ukryta w tym niewielkim urządzeniu (2,3 x 16 x 8,1 cm) na pewno przypadnie do gustu każdemu, kto docenia natychmiastowy dostęp do podładowania baterii w swoich akcesoriach mobilnych. Wyposażony w ogniwa Li-ion power pack Hama Joy 20000 mAh posiada dodatkowe zabezpieczenie przed przeciążeniem, odłączeniem przy zbyt niskim napięciu i ochronę przed zwarcieniem. Dzięki temu urządzenie sprawdza się w każdej sytuacji. Zintegrowany wskaźnik LED poinformuje o stanie baterii w każdej chwili.

Power pack Hama Joy 20000 mAh to dobry wybór dla osób, które lubią mieć przy sobie swoje ulubione urządzenia mobilne i nie chcą być zaskoczeni rozładowaną baterią. To niewątpliwie przydatne akcesorium dostępne jest w cenie 119 zł. Więcej informacji na www.hama.pl



GALERIA szara / **Muzeum Śląskie**

**PRACA
Z NA-
DZIEJĄ
NA...**

GALERIA SZARA
17.03–21.04.2018

UL. MISJONARZY OBLATÓW 4
40-129 KATOWICE

ANNA ORŁOWSKA
PIOTR BOSACKI

Smartwatch, który sprawdzi się w terenie



MyKronoz ZeTime Premium – smartwatch z prawdziwymi wskazówkami

Jeżeli zdarza Wam się zapomnieć naładować smartwatch, to wiecie doskonale jak dobrym rozwiązaniem byłby model pracujący na baterii nie dzień lub dwa, ale np. miesiąc. Niemożliwe? Niezupełnie. MyKronoz, znany z produkcji inteligentnych zegarków wprowadził na rynek nowy model, który to poniekąd potrafi.

Trochę nowego, trochę starego

Jeżeli myślicie, że smartwatch musi wyglądać jak zabawka dla dzieci to jesteście w błędzie. Koperta ze stali nierdzewnej, skórzany pasek, nowoczesne, ale jednocześnie stonowane wzornictwo. ZeTime Premium z pewnością wyróżnia się w tłumie plastikowo-gumowych smartwatchy. Wyróżnia go jeszcze coś: wskazówki. Dla niektórych relikw przeszłości, dla innych element bez którego nie ma prawdziwego zegarka. W ZeTime Premium znajdziemy bowiem normalny mechanizm znany z bardziej tradycyjnych zegarków.

Przemysłane połączenie

Producent zdołał zmieścić w urządzeniu dwa, zdawałoby się różne elementy: tradycyjny zegarek ze wskazówkami oraz nowoczesny smartwatch. Czy te dwa urządzenia w jednym aby sobie nawzajem nie przeszkadzają? Okazuje się, że jest metoda na to by je połączyć. W wyświetlaczu ZeTime Premium znajduje się niewielki otwór, przez który przechodzi oś dla wskazówek. Te z kolei, kiedy tylko zdecydujemy się skorzystać z ekranu dotykowego,

ustawią się w poziomej pozycji tak, by nie blokować elementów UI smartwatcha. Po skończonej operacji wrócą na właściwe miejsce. Warstwa odpowiadająca za obsługę dotykową znajduje się tu ponad wskazówkami, tuż pod szafirowym szkłem. W efekcie wskazówki zupełnie nie przeszkadzają w obsłudze. Zapewniają jednak, poza efektownym wyglądem, jedną istotną cechę ZeTime Premium.

30 dni na baterii?

To czas pracy na baterii. O ile funkcje czysto cyfrowe, takie jak śledzenie aktywności, łączność z telefonem, wyświetlanie powiadomień czy sterowanie odtwarzaniem muzyki przestaną działać po około 3 dniach z dala od ładowarki, o tyle wskazówki nie przestaną pokazywać właściwej godziny przez 30 dni.

Liczne możliwości

Smartwatch MyKronoz ZeTime Premium posiada, jak na prawdziwy smartwatch przystało, szeroki wachlarz możliwości. Może śledzić naszą aktywność fizyczną będąc wyśmienitym kompanem przy bieganiu, pokaże spalone kalorie, a w nocy będzie monitorował nasz sen. Smartwatch poinformuje także o nadchodzących wydarzeniach, pokaże powiadomienia z telefonu i pozwoli sterować muzyką. ZeTime Premium jest również wodoodporny.

Dwie wersje, wiele odmian

MyKronoz ZeTime Premium powstał dzięki akcji na Kickstarterze w dwóch wersjach: pełnowymiarowej oraz odrobinę mniejszej (Petite). To dobry ruch ze strony producenta, gdyż wiele smartwatchy jest odrzucanych m.in. ze względu na zbyt duże gabaryty.

MyKronoz ZeTime Premium jest dostępny na rynku w cenie ok. 820 zł.

Specyfikacja:

- Materiały: stal nierdzewna, prawdziwa skóra, tkanina
- Bluetooth: 4.2
- Wymiary [mm]: 44 x 12,8 lub 39 x 12,6
- Szerokość paska [mm]: 22 lub 18
- Masa [g]: 90 lub 80
- Czas pracy na baterii: 30 dni jako zegarek / 3 dni jako smartwatch
- Współpracuje z systemami: Android 5.0 lub nowszy / iOS 8 lub nowszy

Źródło: Entrymedia, MyKronoz

Prowadził nielegalne wykopaliska archeologiczne !!!



Policjanci zabezpieczyli zabytki pochodzące z nielegalnych wykopalisk archeologicznych. Do sprawy zatrzymano 39-letniego mieszkańca Warlubia, który zajmował się ich pozyskiwaniem.

Policjanci Wydziału Kryminalnego z Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy uzyskali informację o 39-latku, który może być w posiadaniu zabytków archeologicznych pochodzących z nielegalnych wykopalisk. Kryminalni postanowili sprawdzić tę informację i przeszukać miejsce zamieszkania mężczyzny. Do działań włączyli się funkcjonariusze ze Świecia.



Ustalenia mundurowych potwierdziły się. W pomieszczeniach zajmowanych przez 39-latka policjanci znaleźli i zabezpieczyli wykrywacz metali, a także fragment naczynia glinianego z ornamentem, obrączkę wykonaną z metalu, gliniany przęślik tkacki, odłupek krzemienny, 4 monety, 5 szt. fragmentów fibul oraz metalowy przedmiot w kształcie stożka.



Zabezpieczone przedmioty zostaną przebadane przez biegłego z zakresu archeologii. W przypadku gdy potwierdzi się, że są to zabytki archeologiczne, 39-latek odpowie za nielegalne wykopaliska i przywłaszczenie dóbr należących do Skarbu Państwa za co grozi nawet do 3 lat pozbawienia wolności.



Gdzie na wakacje w 2018 roku ?



Początek roku to doskonały czas, by zaplanować letnie wakacje. Problemem może być jednak nie niedostatek, a nadmiar możliwych opcji do wyboru. Jeśli nie mamy pomysłu, dokąd się wybrać, możemy wziąć pod uwagę te kierunki, które wcześniej zainteresowały już innych turystów.

Z roku na rok coraz więcej Polaków udaje się na letni urlop samolotem. Dzięki tanim liniom lotniczym najpopularniejsze stają się te kierunki, na które... można zdobyć najtańsze bilety. To jednak nie w pełni odzwierciedla faktyczne preferencje turystyczne naszych rodaków. Np. nieco inne cele wakacyjnych wojaży wybierają użytkownicy portalu Camprest.com – a są to osoby, które częściej decydują się na podróż samochodem, przez co nie muszą ograniczać się do miejscowości zlokalizowanych w pobliżu lotnisk.

- Na podstawie komentarzy naszych czytelników, rozmów z nimi oraz wyszukiwanych przez nich campingów zauważyliśmy, że niektóre kierunki są popularniejsze niż inne. Nie prowadziliśmy badań statystycznych, ale jednak, w 2017 roku zaobserwowaliśmy pewne tendencje, które prawdopodobnie będą zyskiwały na popularności również w tym roku – mówi wydawca portalu CampRest.com, Piotr Kozłowski.

Nie będzie zapewne zaskoczeniem, że duże zainteresowanie wzbudzają relacje z podróży, porady turystyczne oraz opisy campingów związane z Włochami i Chorwacją. Warto jednak zauważyć, że nie wszystkie regiony w tych krajach są modne w takim samym stopniu.

Włoskie wakacje

Włochy to od lat ulubiony kierunek wakacyjny Polaków. Z racji odległości, dużą popularnością cieszy się **północno-wschodnie wybrzeże Adriatyku** na odcinku od granicy ze Słowenią do Wenecji, z takimi ośrodkami jak **Lido di Jesolo, Cavallino, Caorle** czy **Bibione**.

Poza dużą siecią hoteli i prywatnych kwater znajdziemy tam doskonale wyposażone campingi przeznaczone również dla osób chcących zarezerwować np. klimatyzowany domek lub apartament. Np. tuż obok Caorle znajdziemy 5-gwiazdkowe centrum wakacyjne **Villaggio San Francesco**. Dostępnych jest tam aż 578 domków wakacyjnych, kilka basenów, korty tenisowe, rozmaite boiska, siłownia, solarium i bogate zaplecze gastronomiczne.

Więszym zaskoczeniem jest jednak ogromna popularność, jaką w ostatnich latach cieszy się **Sardynia!** To znacznie dalej od granicy z Polską i „po drugiej stronie Włoch”, bowiem Sardynia to wyspa na Morzu Tyrreńskim. Polacy docierają na nią często samolotami, lądując w **Cagliari** lub **Alghero**, ale istnieje także możliwość przeprawy promowej. I także tą drogą na wyspę dociera coraz więcej naszych rodaków.

Na nocleg czasem wybierają oni prywatne kwatery wyszukane np. w Airbnb, a czasem decydują się na położone blisko natury i z dala od miast campingi. Te na Sardynii nie są na ogół tak rozbudowane jak rodzinne parki wakacyjne na kontynencie, chociaż wśród wielu

kameralnych ośrodków znajdziemy też kilka wyjątków.

Pod uwagę można wziąć chociażby **Camping Village Laguna Blu**, położony kilka kilometrów od Alghero, na wybrzeżu nazywanym „del Corallo”. Poza wspaniałymi widokami, znajdziemy tam nowoczesne domki, sklep, restaurację a animatorzy zadbają o to, by dzieciaki nigdy się nie nudziły. Są też m.in. rowery, szkoła windsurfingu, tenis i wypożyczalnia sprzętu do nurkowania.

Nie da się ukryć, że o swoją promocję bardzo dobrze dba region **Garda Trentino**, który bardzo się stara zwrócić na siebie uwagę także polskich turystów. Filmy promujące okolice największego włoskiego jeziora, prezentują obszar okalający Gardę jako idealne miejsce na aktywny wypoczynek. Malowniczo położone szlaki rowerowe sprzyjają zwiedzaniu okolic na dwóch kołach, a górskie krajobrazy kuszą amatorów wspinaczki. Jeśli do tego dołączymy zapachy z włoskiej kuchni i smak trunków z tamtejszych winnic, szybko przekonamy się, że właśnie nad Gardą znajdziemy kwintesencję Włoch.

Rzecz jasna, wokół Gardy nie brakuje campingów – różnej wielkości i o różnym charakterze – większość z nich nastawiona jest na rodziny z dziećmi oraz na turystów o sportowym zacięciu. Jednym z najbardziej znanych jest **Camping Baia Verde**, który przyciąga turystów chociażby niesamowitym basenem o powierzchni 375 m² z laguną, hydromasażem i gejzerem. Jest też drugi basen – na dachu oraz brodzik dla dzieci. Na tym campingu, tak jak na wielu innych we Włoszech, mile widziane są zwierzęta.

Co ciekawe, Polaków interesują nie tylko morza, góry i jeziora, ale także głąb kraju. I tak po modzie na Toskanię, przyszła moda na **Umbrię** i jej małe miasteczka, z których najsławniejszy jest Asyż.

Trudno powiedzieć, czy bardziej sprawiła to popularność zdjęć malowniczych, kolorowych domków umieszczanych przez turystów z całego świata na Instagramie czy raczej oferta tanich lotów z Polski do Florencji i Genui, ale fakt, że mnóstwo Polaków na liście swoich wakacyjnych marzeń umieściło ostatnio **Cinque Terre**. Jest to fragment riwieri liguryjskiej, gdzie znajduje się pięć miejscowości: **Monterosso, Vernazza, Corniglia, Manarola i Riomaggiore**. Turyści mają do dyspozycji ok. 10 km kilometrów skalistego wybrzeża pnącego się nad niewielkimi zatokami, setki ścieżek łączących między sobą poszczególne osady, a także stare kościoły i malownicze plaże. To po prostu trzeba zobaczyć!

Jeśli szukamy noclegów w tej okolicy, warto wiedzieć, że między Cinque Terre a Portofino znajduje się **Camping La Sfinge**. Leży w dolinie, otoczony akacjami i sosnami. Rozciąga się na powierzchni 18.000 m², a swoim gościom oferuje m.in. możliwość uprawiania sportów wodnych (w tym nurkowanie, surfing, a nawet wędkowanie).

Gorąca Chorwacja

Jeśli Chorwacja, to i Adriatyk. To się raczej nie zmieni. Wygląda jednak na to, że kontynentalne wybrzeże, traci odrobinę na popularności na rzecz rozmaitych wysp oraz półwyspu **Istria**.

Pula, Rovinj, Vrsar, Porec – to przykłady miejscowości, które wzbudzały duże zainteresowanie wśród czytelników portalu Camprest.com. Łatwo to wytłumaczyć, ponieważ właśnie tam znajdują się wymienione ośrodki wakacyjne zapewniające mnóstwo udogodnień zarówno dla kamperów, jak i dla rodzin szukających domków.

Jednym z najmodniejszych w regionie jest obecnie **Camping Polari** – położony 3,5 km od Rovinj, nad samym morzem i z

infrastrukturą nie odbiegającą od najlepszych campingów we Włoszech. Dość wspomnieć, że goście mają do dyspozycji kilka basenów, sklepy, restauracje i mnóstwo możliwości aktywnego spędzania czasu (tenis, koszykówka, surfing, nurkowanie, kajakerstwo, łódzie, skutery wodne, piłka nożna). Obecnie Istria nie jest pewnie najtańszym miejscem na wypoczynek, ale doskonała infrastruktura turystyczna pozostaje dobrym usprawiedliwieniem dla tamtejszych cen.

Na popularności najbardziej jednak zyskują wyspy zlokalizowane w zatoce **Kvarner**, a szczególnie w części nazywanej Małym Kvarnerem, obejmującej wyspy **Rab, Krk, Cres** oraz **Pag**. Na wyspach tych meteorolodzy notują ponad 217 słonecznych dni w roku. Latem temperatura morza osiąga tutaj 26 st. C, ale ciepła jest nawet wiosną i jesienią, kiedy spada do 18 st. C.

W regionie znajdziemy ponad 100 hoteli, a także kilka campingów bardzo wysoko ocenianych przez gości. Do najciekawszych ośrodków w okolicy, a może nawet w całej Chorwacji należy 5-gwiazdkowy, ekologiczny **Camping Resort Krk**. Jedną z opcji zakwaterowania są tam namioty glampingowe - luksusowe, dobrze wyposażone, o rozmiarach domków. Na terenie campingu znajdziemy wszelkie udogodnienia, jakich można w takim miejscu oczekiwać, włącznie z basenami, SPA i parkiem wodnym dla dzieci.

Hiszpania dla Polaków

Wymieniając miejsca zyskujące na popularności, nie sposób pominąć Hiszpanii. Tanie bilety lotnicze sprawiły, że jednym z najpopularniejszych celów wakacyjnych Polaków stała się **Barcelona** i przylegające do niej wybrzeże **Costa Brava**.

Więszym zaskoczeniem może być popularność **Malagi**, położonej niemal na południowym krańcu tego ogromnego kraju. Dość powiedzieć, że podróż samochodem z Barcelony do Malagi zajmuje ok. 10 godzin. A mimo to, tak w samej stolicy Andaluzji, jak i w całej prowincji Malaga, dość często usłyszymy język polski. I będzie to zasługą nie tylko turystów.

W Maladze swoją siedzibę ma już kilka firm wynajmujących kampery gościom, którzy do Hiszpanii przylatują z Polski samolotami. Są też polskie szkoły windsurfingu i coraz więcej innych firm prowadzonych przez Polaków i, przynajmniej częściowo, dla Polaków. A że możemy tu zarówno cieszyć się ciepłym morzem niemal przez cały rok, jak i oglądać przepiękne krajobrazy, Malaga skrada serca kolejnych podróżnych z Warszawy, Krakowa czy Poznania.

Francja – nie tylko Saint Tropez

A co z Francją? Choć także leży nad morzem, a na dodatek bliżej nam do niej niż do Hiszpanii, to jednak utarło się spostrzeganie jej jako kraju drogiego, a przez to mało przyjaznego turystom. Może więc już czas odczarować Francję?

Jeśli porównamy ceny noclegów oraz wyżywienia **na Lazurzym Wybrzeżu** oraz we włoskich kurortach, przekonamy się, że różnice nie są już bardzo duże. Ceny we francuskich restauracjach są tylko trochę wyższe, a szukając noclegu np. na Airbnb, bez większego trudu znajdziemy

kilkuosobowy i klimatyzowany apartament w bardzo dobrej cenie. Poza tym odwiedzinom na Lazurzym Wybrzeżu sprzyjają coraz ciekawsze oferty tanich lotów do Nicei. Stamtąd zaś bardzo łatwo dojechać do **Monako, Cannes** czy **Saint Tropez**.

Ale, w ocenie portalu CampRest.com, nie tylko miejsca położone blisko lotnisk będą zyskiwały w tym roku na popularności. Np. campingi z sieci Campeole posiadają we Francji ponad 70 ośrodków z domkami wakacyjnymi, z których większość znajduje się nad morzem (zarówno nad Morzem Śródziemnym, jak i nad Kanałem la Manche). Tak szeroka oferta stosunkowo niedrogich, ale pięknie położonych i dobrze wyposażonych miejsc na wypoczynek to dobry powód, aby wziąć pod uwagę właśnie wakacje we Francji. Im więcej Polaków będzie dopuszczało możliwość noclegów poza typowymi hotelami, tym częściej na popularności zyskiwać będą właśnie centra campingowe.

Gdzie więc Polacy wybiorą się na wakacje w tym roku? To się dopiero okaże, ale możemy być pewni, że ich wybory będą coraz mniej oczywiste. Wiele osób, które odwiedziły już **Rzym, Barcelonę**, czy **Toskanię**, będzie chciało zobaczyć i przeżyć coś nowego. Będą więc poszukiwać coraz to nowych inspiracji na wspaniałe podróże, a także brać pod uwagę inne formy zakwaterowania niż tylko hotele. Możliwości jest zbyt wiele, by stałe ograniczać się do tych samych kierunków oraz do co roku identycznych sposobów na wypoczynek.

Arkady Fiedler przed wyprawą...



Arkady Fiedler podróżując Fiatem 126p pokonał Europę, Afrykę oraz Azję. To nie koniec jego samochodowych przygód. Już wkrótce zasiądzie za kierownicą elektrycznego samochodu i na trasie wiodącej z Kapsztadu do Europy zmierzy się nie tylko z brakiem dobrych dróg, ale również utrudnionym dostępem do energii elektrycznej. Wczoraj Arkady wraz z Albertem Wójtowiczem wyleciał do Kapsztadu. Zapraszamy na wywiad z Arkadym Fiedlerem udzielonym tuż przed wylotem.

Przed Tobą nowa wyprawa, ale tym razem nie pojedziesz na nią Fiatem 126p?

Zgadza się. Zamierzam przejechać Afrykę samochodem elektrycznym jadąc z południa na północ. Można śmiało powiedzieć, że będzie to podróż pionierska w swoim charakterze, a co za tym idzie

niełatwa do zrealizowania. Plan jest prosty – zasiądę za kierownicą samochodu w stu procentach elektrycznego i spróbuję dojechać do celu. Projekt nazwałem ELECTRIC EXPLORER AFRICAN CHALLENGE, a jego celem będzie sam przejazd samochodem elektrycznym przez kontynent. Tym razem nie będzie mi towarzyszyła ekipa filmowa i drugi

samochód. Będziemy tylko ja i Albert Wójtowicz, który jechał ze mną przez Afrykę i Azję, a którego zadaniem będzie dokumentowanie ekspedycji fotograficznie i filmowo.

Wspomniałeś, że to będzie pionierska podróż...

Będę podróżował z Kapsztadu do Europy jadąc wzdłuż Afryki Zachodniej. Bohaterem mojej podróży jest seryjny, bez żadnych przeróbek czy udoskonaleń, Nissan Leaf pierwszej generacji. Nie będzie to jednak pierwszy egzemplarz samochodu z takim napędem na afrykańskich drogach. Takie auta można spotkać już w Republice Południowej Afryki. Warto również dodać, że specjalnie przerobiony przez firmę Venturi - Citroen o takim napędzie przemierzył 5000 km i 5 afrykańskich krajów kilka lat temu. Natomiast żaden samochód elektryczny nie przejechał jeszcze całego afrykańskiego kontynentu. Mam więc okazję dokonać tego jako pierwszy.

Dlaczego postanowiłeś jechać w tę podróż samochodem elektrycznym?

Pierwszy kontakt z samochodami elektrycznymi miałem w 2011 roku. Mieszkałem wtedy w Wielkiej Brytanii i w tym okresie elektryczna mobilność bardzo szybko się tam rozwijała. Jestem wielkim fanem klasycznej motoryzacji, ale trzeba wziąć pod uwagę również to, że alternatywne dzisiaj źródła zasilania będą musiały w najbliższym czasie zastąpić te tradycyjne. Moją podróżą chciałbym przybliżyć świat elektrycznej motoryzacji, pokazać, że pomimo obaw można podróżować samochodem bardziej ekologicznym, nie emitującym tyle zanieczyszczeń do środowiska, co silnik spalinowy. Zależy mi też aby pokazać, że bardzo dużo w gruncie rzeczy zależy od nas samych - jednostek. Robiąc coś co może nam się wydawać trudne czasem niemożliwe do zrobienia z odpowiednim

nastawieniem i determinacją będziemy wstanie zrealizować. Kusi mnie pionierski charakter tej podróży i chęć sprawdzenia jak poradzi sobie tego typu pojazd w warunkach tak trudnej podróży oraz jak ja zdam egzamin szukając prądu do naładowania jego baterii.

Większy – w porównaniu z Maluchem – samochód, to większa wygoda?

Fiat 126p był podczas moich dotychczasowych podróży zapełniony częściami zamiennymi. W przypadku Nissana Leafa nie będę brał w podróż żadnych podzespołów, może ewentualnie jakieś drobiazgi typu łożysko lub elementy zawieszenia. Przestrzeń rzeczywiście będę miał większą, ale z drugiej strony będę miał pasażera.

Czy uznajesz się za osobę, która w jakiś sposób przeciera szlaki ku elektrycznej mobilności?

Samochody elektryczne są niewątpliwie przyszłością motoryzacji. Dzisiejsi kierowcy tych pojazdów są swego rodzaju współczesnymi odkrywcami, pionierami przyczyniając się do rozwoju czystej motoryzacji. Im więcej będzie ich jeździło po drogach świata, tym czystszy i zdrowszy powietrzem będziemy oddychali. Jestem przekonany, że już wkrótce wielu ludzi weźmie pod uwagę zakup takiego pojazdu. Chciałbym, żeby moja podróż choć trochę przyczyniła się do tego, jak postrzegamy świat, i jaki wpływ na niego mają nasze działania, chociażby wybór środka transportu w przyszłości.

Przewidujesz jakieś potencjalne trudności związane z ładowaniem takiego samochodu?

Rzeczywiście, jednym z największych wyzwań będzie ładowanie baterii. Prądu będę szukać prawie jak wody na pustyni. Zaplanowałem dzienny przebieg na

poziomie około 150 km. Założyłem również – bardzo optymistycznie, że podróż jest możliwa do zrealizowania. Oczywiście nie mogę liczyć na stacje szybkiego ładowania i będę musiał napełniać baterie samochodu z domowych instalacji. Będę więc liczył na pomoc życzliwych i spontanicznie poznanych ludzi, bez ich pomocy nie będę w stanie dojechać do celu. Na liście miejsc, oprócz domów mieszkańców Afryki w których będę mógł potencjalnie naładować baterię znajdują się również np. hotele, stacje benzynowe, a nawet posterunki policji, kościoły i meczety. Na szczęście prąd w Afryce jest dostępny. Problemem może być brak odpowiednio dobrej jakości gniazdek.

Na którym odcinku podróży możesz napotkać największe trudności?

Początek podróży będzie najłatwiejszy. Afryka Południowa jest dobrze rozwinięta, pierwsze kilka tysięcy kilometrów – aż do Angoli - będzie prowadziło po asfaltowych drogach. Potem zacznie się trudniejsza część podróży. Drogi w Angoli są gorsze, w dużym stopniu szutrowe. Dużym problemem może stać się brak odpowiedniej infrastruktury elektrycznej. Trasa będzie wiodła również przez fragment Republiki Demokratycznej Konga – tam drogi również są złej jakości, dodatkowym utrudnieniem będzie błoto i deszcz. To wyzwanie nie tylko dla podróżnika, ale również dla seryjnego auta

elektrycznego, bez napędu na cztery koła i podniesionego zawieszenia.

Wracając do samochodu. Jak wypadły jego pierwsze testy?

Odbyłem po Polsce siedmiodniową podróż. Dzięki temu sporo dowiedziałem się o tym samochodzie. Przede wszystkim jako sobie radzić z jego ładowaniem w warunkach podróży. Przemieszczaliśmy się z miejsca na miejsce, więc nie posiadaliśmy jednej bazy, w której następowałoby ładowanie. Z premedytacją wybraliśmy wschodnią granicę, gdzie nie ma stacji szybkiego ładowania.

Jak wygląda realny zasięg takiego samochodu?

W sumie przejechaliśmy 2514 kilometrów, a baterie były ładowane 16 razy. Ostatniego dnia przejechaliśmy 724 kilometry ładując samochód 3 razy, w tym dwa razy do pełna. Co noc napełnialiśmy baterie ze zwykłych gniazdek udostępnianych przez właścicieli miejsc postojów na nocleg. Czasem ładowaliśmy też po drodze podczas przerw na obiad. W sumie na 16 ładowań tylko 6 było z wykorzystaniem specjalnych ładowarek. W kilku miejscach proszono nas o zapłacenie za udostępnienie gniazdka, a więc koszt przejechania ponad 2500 kilometrów wyniósł 35 zł (trzydzieści pięć złotych – dop. redakcji).

KUCHNIA POLSKA

tradycja - smak - współczesność

Zachwycająca kombinacja smaku
i tradycyjnej polskiej sztuki kulinarnej



Zapraszamy do Restauracji Ibiza

ul. Główna 100, Ludwikowice Kłodzkie, tel. 746604001